LUBLIN

KAMENA

DWUTYGODNIK LITERACKI

LUBLIN

15.II.1960

Nr 3 (193)

ROK XXVII

CENA 2 ZŁ

W NUMERZE: Kultura w gromadzie ● Technika czy humanizm ● Poemat o nieskończoności ● W stronę młodych ● Kartki z podróży ● Kryminał prawie doskonały ● Sprawa Tarwida ● I in.

STANOWCZO ZA MAŁO...

KONRAD BIELSKI

Redakcja „Kameny" zwróciła się do mnie z propozycją napisania artykułu na temat aktualnych zagadnień polityki kulturalnej naszego regionu. W tym samym mniej więcej czasie otrzymałem plan inwestycyjny rozwoju placówek kulturalnych w okresie 1961—1965. Pogrążyłem się w czytaniu, uważając to za świetny temat do zamówionego artykułu. W czymże bowiem lepiej będą się odbijać zamierzenia polityki kulturalnej, jak w planie inwestycji. Skoro poznamy bazę — fundamenty, na których rozwijać się będzie życie kulturalne, łatwiej nam będzie mówić o dalszych planach i zamierzeniach. Tym bardziej, że znany nam jest punkt wyjściowy, tj. stan obecny, który jest bardziej niż niezadowalający. Co tu dużo mówić. Przez piętnaście lat Polski Ludowej, przy tylu znakomitych osiągnięciach i zdobyczach w naszym województwie, w dziedzinie inwestycji placówek kulturalnych niewieleśmy uzyskali i nie bardzo mamy się czym pochwalić.

Czy mam przypominać to, o czym wszyscy dobrze wiemy — że w samym Lublinie teatr mieści się w budynku przestarzałym, szczupłym i nadgryzionym zębem czasu, że operetka jest bezdomna i korzysta z gościnnego, chwilowego przytuliska, że Filharmonia posiada pomieszczenie dalekie od najskromniejszych wymagań, że nie ma ani jednego nowoczesnego kina, tak niezbędnej sali widowiskowej i tak dalej, i tak dalej. Jeśli zaś przeniesiemy się myślą do miast powiatowych, to zobaczymy również poważne braki, a z przykrością wypadnie stwierdzić, że wiele jeszcze w naszym województwie istnieje miasteczek i osiedli, w których jedynym przybytkiem kulturalnym jest karczma, w dzisiejszych czasach zwana łagodnie — gospodą. I to w tym samym czasie, gdy na innych odcinkach możemy odnotować niecodzienne osiągnięcia.

Jakiejże poprawy możemy się spodziewać w nadchodzących pięciu latach? Co nam one przyniosą w dziedzinie inwestycji kulturalnych, bez istnienia których wszelka praca na tym odcinku jest niepełna i nie przynosząca zamierzonych efektów.

Otóż muszę na wstępie rozczarować moich czytelników, by się za dużo nie spodziewali, gdyż plan ten przedstawia się nad wyraz skromnie i nie realizuje prawie żadnych kluczowych postulatów. Nawet dla nas, ludzi, którzy z racji zajmowanych funkcji społecznych staliśmy bliżej tych spraw i zagadnień i nie oczekiwaliśmy zbyt wiele — ostateczny bilans był zaskakująco mizerny.

Ale przejdźmy do szczegółowych rozważań. Już na wstępie projektu czytamy: „Plan rozwoju placówek kulturalnych w okresie 1961—1965 uzależniony jest od limitów inwestycyjnych i kwot budżetowych — przeznaczonych na cele upowszechnienia kultury. Fundusze te, ustalone w wysokościach bardzo szczupłych i wskazujące z roku na rok bardzo nieznaczny wzrost, nie pozwalają na przyjęcie w planie koncepcji zakładającej szerszy rozwój sieci placówek kulturalnych, który by zapewnił pełne zaspokojenie potrzeb ludności w tym zakresie. Dotyczy to głównie takich placówek, jak biblioteki powszechne i kina, spełniające zadania upowszechnienia kultury wśród szerokich mas ludności. Plan 5-letni został więc oparty o realne możliwości rozwoju".

Po takim wstępie, który może ostudzić zapał największego optymisty, następuje wyliczenie poszczególnych pozycji i zamierzonych osiągnięć. Zacznijmy od bibliotek, ponieważ w tym zakresie plan został uznany za dostateczny. Liczba bibliotek powszechnych zwiększy się o trzydzieści kilka procent. W sumie liczba 409 bibliotek istniejących w roku 1959, w roku 1965 wzrośnie do 577, w tym wiejskich 504. Ponieważ jednocześnie zmniejszyła się liczba gromad, która wynosi obecnie około 500, będzie można osiągnąć sugerowany przez Ministerstwo Kultury wskaźnik: w każdej gromadzie — biblioteka. Tak jest na papierze, a w rzeczywistości? Przyjrzyjmy się jak wyglądają te biblioteki wiejskie. W olbrzymiej większości są to małe izdebki, ciemne, ciasne, nieprzytulne. Z trudem mogą pomieścić zaledwie parę osób. Książki nie mają odpowiedniego pomieszczenia i zabezpieczenia. Prędko brudzą się i niszczą. Nie ma gdzie usiąść, by rozłożyć otrzymany tom, poprzewracać kartki, obejrzeć ryciny, podzielić się wrażeniami. Nie ma miejsca, gdzie by można posiedzieć nad książką i pogwarzyć o niej. Przecież trzeba sobie również uprzytomnić zacofanie naszej wsi lubelskiej i warunki mieszkaniowe dalekie od ideału, jaki chcielibyśmy widzieć. Tam przeważnie nie ma miejsca na spokojne czytanie. Toteż lokal biblioteczny powinien spełniać funkcję klubu czytelniczego. Chcielibyśmy, żeby to były budowle najbardziej okazałe, zachęcające do odwiedzin. Aby siedziba kultury była tą kulturą po brzegi wypełniona. No ale to na razie sfera marzeń, wracając zaś do rzeczywistości, czyli do naszego planu, należy stwierdzić, że powiększenie liczby wiejskich bibliotek publicznych, to nie znaczy wybudowanie nowych, odpowiednich gmachów, lecz wynalezienie i wynajęcie pomieszczeń, niewiele się różniących od wyżej opisanych.

Liczba domów kultury zwiększy się i osiągnie stan 20 w roku 1965. Inwestycje te finansowane będą w większości ze środków własnych powiatowych rad narodowych. W Lublinie będzie rozpoczęta budowa Domu Kultury, który przecież dotychczas zajmuje lokal na Zamku przeznaczony na muzeum. Jednak zamierzenie, aby w planie pięcioletnim otworzyć w każdym mieście powiatowym dom kultury, z powodu braku środków inwestycyjnych, jest nie do zrealizowania. Nie wybrzydzajmy już, że nie wszystkie te domy będą na dostatecznie wysokim poziomie, stwierdzamy jednak ze smutkiem, że na koniec 1965 roku nie będą posiadać domów kultury takie miasta powiatowe, jak Kraśnik, Opole, Radzyń.

Najefektowniejsza inwestycja — to niewątpliwie budowa nowego teatru dramatycznego w Lublinie, na wskróś nowoczesnego, na 800 miejsc. Po wybudowaniu tego teatru faktycznie przybędzie Lublinowi tylko 300 miejsc, gdyż obecny teatr im. Osterwy, posiadający 500 miejsc, zostanie oddany do użytku operetce, która mieści się w wynajętym lokalu.

Jednak ta inwestycja, postulowana od dawna i zatwierdzona Uchwałą Rady Ministrów jeszcze w grudniu 1958 roku, pochłonie wszystkie fundusze, i z myślą o innych budowlach, a w szczególności tak niezbędnej dużej, nowoczesnej sali widowiskowej, musimy się na razie pożegnać. Coś tam przebąkuje się o adaptacji na ten cel hali sportowej, ale każdy wie, że to już nie to.

Przewidywany w planie wzrost kin nie zaspokoi potrzeb terenu i w samym Lublinie nie spowoduje większej poprawy. Wprawdzie nareszcie w Lublinie oddane zostanie do użytku kino na 800 miejsc, lecz zaraz nastąpi zamknięcie na dłuższy czas największego kina „Wyzwolenie", celem przeprowadzenia niezbędnego remontu i koniecznych renowacji, a na pewno ubędzie kino „Staromiejskie" i prawdopodobnie „Koziołek". Z nowych budynków uzyskamy kino w Puławach, mniejsze w Nałęczowie i Ostrowiu Lubelskim. Ogółem liczba miejsc na 1.000 mieszkańców wzrośnie niewiele i nie osiągnie jeszcze średniej krajowej. Kina wiejskie mają wzrosnąć o liczbę około czterdziestu, ale nie będą to nowe budynki i należy tu przypomnieć to, cośmy pisali o wiejskich bibliotekach.

Cóż jeszcze można dodać? Niewiele. Budowa Liceum Muzycznego w Lublinie, która zostanie rozpoczęta w 1962 r. To prawie wszystko. Jak więc z powyższego wynika, inwestycje kulturalne w województwie lubelskim w planie pięcioletnim będą minimalne i nie zaspokoją naszych w tym przedmiocie najelementarniejszych potrzeb.

Przyczyną tego jest nie brak należytej troski i zrozumienia u władz lokalnych, lecz w skali krajowej ciągle jeszcze niedostateczne ocenianie spraw związanych z upowszechnieniem kultury. Ciągle jeszcze niestety wydatki na potrzeby kulturalne zajmują ostatnie, najmniejsze pozycje. My zaś, działacze kulturalni, cierpimy również wskutek tego na pewien kompleks niższości. Dlatego też zapewne żądania

(Dokończenie na str. 7)

REDAKCJA „KAMENY" I LUBELSKI DOM KULTURY

ogłaszają konkurs

na najciekawszą korespondencję

pod hasłem

„ŻYCIE KULTURALNE MEGO ŚRODOWISKA"

Celem konkursu jest zebranie danych na temat aktywności kulturalnej Lubelszczyzny oraz „białych plam" na mapie naszego życia kulturalnego. Chodzi nam zwłaszcza o sytuację panującą w dziedzinie kultury na wsi, w małych miasteczkach, w zakładach pracy.

Korespondencje mogą być opracowane w dowolnej formie: notatki informacyjnej, artykułu, reportażu, szkicu — byle były oparte na konkretnych i prawdziwych faktach.

Objętość korespondencji nie powinna w zasadzie przekraczać 5 stron maszynopisu z podwójnym odstępem. Korespondencje mogą być nadsyłane w czytelnym rękopisie.

Przewidziane są następujące nagrody:

I — 1000 zł
II — 700 „
III — 500 „

oraz 4 wyróżnienia po 200 zł.

Przy przyznawaniu nagród będzie brana pod uwagę zarówno strona faktograficzna korespondencji, jak ich literacka forma.

Korespondencje zamieszczone w „Kamenie" będą honorowane wedle normalnych naszych stawek. Redakcja zastrzega sobie prawo opracowania nadesłanego materiału.

W skład jury Konkursu wchodzą: Maria Bechczyc-Rudnicka, Leszek Gzella, Tadeusz Kłak, Mirosława Knorr, Irena Szczepowska, Anna Tatarkiewicz.

Korespondencje należy nadsyłać w nieprzekraczalnym terminie do 10.IV.1960 r. pod adresem: Redakcja „Kameny", Lublin ul. Graniczna 1 C, z napisem na kopercie „Konkurs".

RYSZARD DUNIN

Na 42 rocznicę powstania Armii Czerwonej

Nie ogrzeje Cię
Srebrnych gwiazd igrzysko,
Nie odszuka uśmiech
Szarej godziny
Twojego domu,
Nie napijesz się
Ze mną herbaty,
Którą tak lubiłeś.
Odziany w zielone
Sukno murawy,
Milczysz jak zaklęty.
A tam, nad Wołgą,
Syn Twój kończy dziś
Dwadzieścia lat.
Jego matka oczy ma
Poszerzone zachwytem.
— „Tak jesteś podobny,
Synku, do ojca"...
Mówi i płacze.
A Ty trwasz z ustami
Nabrzmiałymi ostatnim
Krzykiem i nie słyszysz
Głosu matki twego syna.
Wiem.

Odpowiesz, że człowiek
Nie rodzi się po to,
Aby tylko istnieć,
Trzeba umieć umrzeć
Za „Naszą i Waszą"...
Usnąłeś snem kamiennym,
A syn twój czytając gazetę
Chmurzy czoło i mówi:
— „Mamo, znów próbują
rozpalić
Żelaznym płaszczem trwogi
Światła Zachodu. Znów chcą,
By promienie zachodzącego
Słońca wpadały do otwartych
Grobów jak w czterdziestym
Czwartym do mogiły ojca"...
Chylę czoło przed jego protestem
I Twoją nieśmiertelnością,
przyjacielu.
Na płaszcz Twój utkany
z zielonej murawy
Składam biało-czerwone kwiaty,
Które powróciłeś mojej
Ojczyźnie
Polsce.

KULTURA W GROMADZIE

ALINA TOMASZEWSKA

Na wzgórzu, w pobliżu przystanku PKS w Tomaszowicach, stoi romantyczny, murowany, ongiś ziemiański dwór. Obecnie, na parterze mieści się w nim szkoła, na piętrze mieszkają nauczyciele. Osobnym wejściem wchodzi się do pokoju, w którym urzęduje GRN, i do niedużej salki z prymitywną sceną, w której znajduje się gromadzka biblioteka Sala jest nieopalana, a temperatura w niej panująca przypomina do złudzenia temperaturę wnętrza dobrze funkcjonującej lodówki. Drzwi nie mają żadnego zamknięcia — wchodzi kto chce. Za całe umeblowanie wystarcza kupa desek zwalonych w kącie pod ziejącym lodem oknem (przypuszczalnie przed przedstawieniem montuje się z nich coś w rodzaju ławek). Oprócz tego stoją tu jeszcze dwie nieduże szafy skromnie przycupnięte pod ścianą, mieszczące cały majątek gromadzkiej biblioteki. Ileż to już razy dokonywano do tych szaf włamania. I nawet trudno dojść, kto to zrobił. Do niezabezpieczonych żadnym zamkiem pomieszczeń może wejść kto chce.

Tym skromnym królestwem dwóch szaf pełnych książek włada niezwykły człowiek, gromadzki bibliotekarz. Na pierwszy rzut oka nie widzi się w nim nic nieprzeciętnego — chłop, jakich przecież wielu w lubelskich wsiach. Dopiero w rozmowie odkrywa się całą jego oryginalność i niezwykłość.

Jan Kędzierski ma lat 55, trzy i pół ha ziemi (w tym 1,5 ha nieużytków), trzech synów i od lat — ogromną miłość do książek. Przed wojną, gnany tym uczuciem, chodził do odległego o 19 km Garbowa czy też Konopnicy, aby zdobyć coś nowego do czytania. W tamtych czasach z książkami na wsi była trudna sprawa. Niewielkimi biblioteczkami przeznaczonymi „dla ludu" dysponowali głównie proboszczowie w wiejskich parafiach. Książki były przeważnie religijne w treści i niezbyt artystyczne w formie. Kędzierski czytał religijne i antyreligijne, a także czysto świeckie — wszystko, co mu w ręce wpadło. Po wojnie zaczęły działać biblioteki powiatowe. W roku 1952 jeden ze znajomych Kędzierskiego, pracujący w takiej właśnie bibliotece powiatowej, zaproponował mu, aby poprowadził w Mosznie (miejsce zamieszkania Jana Kędzierskiego, oddalone o 5 km od Tomaszowic) punkt biblioteczny. Od tamtej pory Kędzierski związał się bez reszty z książkami i wiele wysiłku włożył w rozbudzenie w ludziach zainteresowania nimi. To ostatnie zwłaszcza robił tak dobrze, że przy końcu 1956 r. awansował na kierownika biblioteki gromadzkiej.

Wyniki jego pracy? Według statystyki, na około 2100 mieszkańców gromady Tomaszowice 22% ma swoje karty czytelnicze. Wynikałoby z tego, że około 460 osób stale czyta książki z biblioteki. W rzeczywistości jest nieco inaczej. Tę liczbę czytelników należałoby, gwoli sprawiedliwości, przemnożyć przez dwa, a może nawet przez trzy. Dlaczego? Prosta sprawa: wypożyczoną książkę czyta zazwyczaj kilka osób z tej samej rodziny, nie zapisanych do biblioteki. Czasem nawet wypożycza się ją sąsiadom. W takim wypadku statystyka, choć oparta na danych „urzędowych", nie odzwierciedla prawdziwego stanu rzeczy, bo jest dla niej nieuchwytny wskutek braku „papierowych podkładek". I to wcale nie jest zjawisko złe. Przecież biblioteka na wsi działa nie dla statystki, ale dla „rozczytania" ludzi, dla podniesienia ich poziomu intelektualnego.

Jest jeszcze inny wypadek, w którym bardzo trudno uczynić zadość biurokratycznym wymaganiom statystyki: wiele ludzi schodzi się wieczorami w skromnym domu Jana Kędzierskiego. Znajdzie się wtedy zawsze ciekawa książka, którą czytają wspólnie na głos. Ile ludzi przychodzi? Różnie. Raz ci, raz inni. Trudno ich policzyć, więc się nie liczy, choć czytelnikami są na pewno.

Na terenie gromady Tomaszowice, pod troskliwą i czujną opieką Kędzierskiego, działają cztery punkty biblioteczne. Jego dumą jest punkt w Miłocinie, prowadzony przez młodą dziewczynę Henrykę Salangę. Punkt ten ma 83 czytelników — oczywiście tych ujętych przez statystykę (przeciętnie na Lubelszczyźnie punkt ma 15—20).

Niełatwy ma żywot gromadzki bibliotekarz w Tomaszowicach.. W „bibliotece" nie tylko nie może zrobić wystawki, położyć kilku czasopism, napisać sprawozdania dziennego, ale nie jest w stanie nawet pociąć papieru i obłożyć książki. Ręce grabieją z zimna, o zdjęciu kurtki ani myśleć. Zresztą nie ma nawet stolika, na którym mógłby się rozłożyć z robotą. Po skończonym więc wypożyczaniu Kędzierski obładowuje się książkami, rulonami papieru, kartami, zeszytami i maszeruje 5 kilometrów do Moszny. W następny „wypożyczeniowy" dzień dźwiga to wszystko z powrotem.

A jednak się nie skarży. Mówi wprawdzie o swoich marzeniach, które wszystkie obracają się wokół własnego, ogrzanego i choćby niewielkiego lokalu biblioteki. Jak to by można wówczas zorganizować propagandę książki, jakie wystawki, jak by ludzie mogli mieć łatwy dostęp do obejrzenia wszystkich nowości, do przeglądania prasy literackiej... Ale chyba nikt nigdy nie słyszał od niego, że ma tego wszystkiego dość, że nie będzie się tak mordował za marne 500 zł. Doprawdy wielka i godna podziwu jest miłość tego człowieka do książek.

Jak wygląda jego „praca z czytelnikami?" Oto obrazek oryginalny, a tak zwykły w Mosznie: dzieci idą z nauczycielką do lasu, na pokazową lekcję botaniki. Zauważył je Kędzierski, rąbiący na swoim podwórzu drzewo. Rzuca siekierę i przyłącza się do rozkrzyczanej gromadki. Znają go dobrze. Z miejsca zaczynają się prośby, żeby co opowiedział, tak po drodze, nim do lasu dojdą. Bibliotekarz zaczyna. W jego opowiadaniu smoki porywają królewny, harcerze szykują się na wielką wyprawę, Robinson ląduje na bezludnej wyspie... Ale oto już las.

— Resztę przeczytacie sobie sami w książce — kończy z dobroduszną przebiegłością. I nie pomagają żadne błagania. Za to po lekcjach musi otwierać szafę z książkami i na gwałt wypożyczać te, które zaczął opowiadać.

Co ciekawsze, ta metoda daje mu świetne wyniki także wtedy, kiedy ją stosuje do dorosłych.

— Niektóry człowiek to jest taki — opowiada Kędzierski — że jak sam czyta, to nie bardzo rozumie, o co w książce chodzi. Ale jak mu się opowie chociaż kawałek, to zaraz wie, jaki jest sens.

Czasem przychodzą do biblioteki ludzie po poradę: a to koń zachorował — może co w książkach o takiej chorobie jest; a to chcą nowy sad założyć i nie wiedzą jak to zrobić, żeby było jak najlepiej; to znów pszczoły... Ale najgorzej to z gospodyniami wypożyczającymi książkę kucharską. Każda chciałaby ją zatrzymać jak najdłużej i właściwie każdej przydałaby się taka książka w domu na własność.

Co do beletrystyki, no to w tomaszowickiej gromadzie ludzie czytają głównie Rodziewiczównę, Kraszewskiego, Trylogię Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkową. Współczesną literaturę? — Raczej nie. Wyjątek stanowią książki na temat ostatniej wojny. Kędzierski ma swoje wyrobione zdanie na temat literatury współczesnej, a jego oczami, oczami „człowieka książek", patrzy zapewne wielu mieszkańców gromady. A może raczej on jest tylko wyrazicielem ich własnego poglądu na tę sprawę?

Słynna na całą okolicę jest polemika Kędzierskiego z Putramentem, przy okazji jakiegoś spotkania. Putrament zapytał bibliotekarza, co sądzi o współczesnej literaturze. Na to Kędzierski:

— Nie podoba mi się. Za dużo w niej słów, jakby to powiedzieć, no brutalnych, ordynarnych. Ja bym się wstydził czytać to głośno nawet przy własnych synach. Wolę starych autorów. Tam tego nie ma

— Widzicie — pono odpowiedział literat — dzisiaj my piszemy tak, jak jest w rzeczywistości.

I znów Kędzierski:

— Jak jest, to my sami dobrze wiemy: i to, że ludzie używają takich wyrazów, i inne rzeczy. Ale w książce, to my byśmy chcieli znaleźć wzór, jak robić, żeby było lepiej, i jaki człowiek naprawdę powinien być.

Jan Kędzierski czyta czasopisma literackie i wielkim oburzeniem zapałał dowiedziawszy się z jakiegoś artykułu, że „rym jest zbyteczny, a nawet szkodliwy, bo odwraca uwagę od myśli zawartej w wierszu".

— Mnie tam rym nie przeszkadza, a powiem więcej, że w tych współczesnych wierszach bez rymu, to i myśli najczęściej nie ma, a napisane są tak, że zupełnie nie wiadomo o co chodzi. I po co tak wydziwiać? Niedawno miał tu u nas wieczór autorski kowal z Gutanowa — Pietrak. On też wiersze pisze, ale jakie. Prosto do serca idą. One są bardzo proste, takie jak nasza mowa. Ale jak czytał na przykład o śmierci swojej córeczki, to aż nas wszystkich za serca ściskało. Tak, to piękne wiersze: Mickiewicza, Konopnickiej, Broniewskiego, Pietraka...

Jan Kędzierski jest nie tylko bibliotekarzem. W swojej gromadzie jest najbardziej aktywnym społecznym działaczem kulturalnym. Pod jego kierownictwem i reżyserią od kilku już lat działa zespół teatralny, a w styczniu, za jego walną przyczyną, powstało w Mosznie koło ZMW. Zapisali się

→

Kultura w gromadzie, kultura w powiecie — to dziedzina, która wciąż jeszcze czeka swego Kolumba. Od czasu do czasu pojawiają się w prasie dytyramby ku czci przypadkowo odkrytych „judymów" lub „siłaczek" kultury, częściej rozlega się bicie na alarm, że zastój, że marazm, że pustynia kulturalna. Pełnego, obiektywnego obrazu, wspartego o fakty — jak nie było tak nie ma. Może dlatego, że przeważnie mówi się o tych sprawach „odgórnie" czy „odbiurkowo", za rzadko dopuszczając do głosu samych bezpośrednio zainteresowanych. Sprawa nie jest zresztą prosta, bo ludzie czynu, nawet czynu kulturalnego, nie koniecznie są ludźmi pióra, a i czasu nikt nie ma za wiele. Niemniej jednak chcielibyśmy podjąć w „Kamenie" próbę dotarcia do tych, którzy tę problematykę na Lubelszczyźnie kształtują: do terenowych działaczy kulturalnych i oświatowych — z zawodu i z zamiłowania. Dlatego ogłaszamy konkurs na temat życia kulturalnego w różnych środowiskach, dlatego apelujemy do wszystkich, zainteresowanych kulturą, aby pisali do nas o swych potrzebach, bolączkach, troskach, a także radościach i osiągnięciach. Redakcja ze swej strony pragnie — w ścisłej współpracy z Lubelskim Domem Kultury — zamieszczać różne materiały adresowane właśnie do działaczy kulturalnych. Może wspólnymi siłami uda nam się — nie dokonać przełomu, przełomy to rzecz niełatwa i nierychła — ale dokładniej sprecyzować problematykę życia kulturalnego, wyważyć różne „plusy" i „minusy", nakreślić — bodaj w przybliżeniu — mapę kulturalną Lubelszczyzny. I to już byłoby niemało.

ZYGMUNT TOŁWIŃSKI

W dniu 2 lutego br. zmarł w Lublinie Zygmunt Władysław Tołwiński. Poświęcił on miastu naszemu i jego kulturze cały swój cichy żywot. Tu urodził się 28 maja 1888 r. jako syn znanego lekarza, a wnuk nauczyciela gimnazjalnego w Lublinie, mającego wśród swych uczniów m. in. Bolesława Prusa. Tu kształcił się najpierw w rosyjskim gimnazjum, po strajku szkolnym — w Szkole Lubelskiej, którą ukończył w roku 1908. Studia uniwersyteckie w zakresie filologii polskiej i słowiańskiej odbył w latach 1909—14 w Uniwersytecie Jagiellońskim. Lata pierwszej wojny światowej spędził w Zagłębiu Donieckim.

W styczniu 1919 r. rozpoczął działalność nauczycielską w szkołach średnich lubelskich, którą prowadził nieprzerwanie aż do śmierci, do ostatniej chwili pożyteczny. Uczył języka polskiego, ubocznie łaciny, w ostatnich dziesięciu latach także rosyjskiego. W r. 1924/25 kierował Państwowym Wyższym Kursem Nauczycielskim; w latach 1946—50 był dyrektorem Liceum dla Dorosłych Towarzystwa Szkoły Średniej.

W dwudziestoleciu międzywojennym pracy pedagogicznej towarzyszyła działalność naukowa i społeczna. W książce zbiorowej „Ignacemu Chrzanowskiemu — uczniowie lubliniacy" (Lublin 1926) ukazała się rozprawka Tołwińskiego „Pieśń świętojańska o Sobótce Jana Kochanowskiego — Jednolitość treści i układu", oparta o dokładną znajomość literatury przedmiotu i o samodzielne przemyślenie zagadnień.

Od początku istnienia Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Lublinie (1927) należał Tołwiński do jego aktywnych członków, a w r. 1936 objął funkcję sekretarza generalnego. Towarzystwo prowadziło pod prezesurą Zygmunta Kukulskiego bardzo ożywioną działalność wydawniczą. Najważniejszym osiągnięciem zbiorowym Towarzystwa za sekretariatu generalnego Tołwińskiego był tom III „Pamiętnika Lubelskiego" 1928. Tam ogłosił Tołwiński wespół z Janem Wępsięciem nieco listów Wincentego Pola. Za zasługi w Towarzystwie Przyjaciół Nauk otrzymał Tołwiński w 1938 r. srebrny wawrzyn Polskiej Akademii Literatury. W czasie wojny, wysiedlony przez okupanta do sutereny, przechował archiwum Towarzystwa i umożliwił jego reaktywację w r. 1945.

W latach powojennych, zajęty pracą zarobkową, mając nieraz wymiar kilkudziesięciu godzin szkolnych, zarzucił pracę naukową. Praca pedagogiczna zjednała mu dwa odznaczenia: medal 10-lecia Polski Ludowej i złoty krzyż zasługi.

Jako nauczyciel wyróżniał się dobrą znajomością zarówno swego przedmiotu, jak też dziedzin pokrewnych. Wszczepił w młodzież zamiłowanie do rzeczy pięknych, włączając do kursu informacje o sztuce w poszczególnych epokach, a literaturę traktując jako jedno z ogniw kultury artystycznej. Szczególnie bliska była mu muzyka (był dobrym pianistą).

Promieniował wysoką kulturą i taktem. Zachował godność narodową przez cały czas okupacji, więziony przez Niemców na Zamku Lubelskim w zimie 1939/40 roku, a potem w borykaniu się z ciężką biedą. Nawet wtedy nie zaprzestał ani na chwilę pracy dla kultury narodowej. Był wrogiem frazeologii, werbalizmu. Nie miał nic z próżnej błyskotliwości i efekciarstwa. Życie nie szczędziło mu kłopotów. Odszedł jako człowiek skromny, który dzięki wieloletniej wytrwałej pracy nauczycielskiej i wychowawczej zasłużył sobie na to, by go w środowisku lubelskim pamiętano.

Jerzy Starnawski

NIE TECHNIKA CZY HUMANIZM—LECZ TECHNIKA I HUMANIZM

ROMAN ROSIAK

Blisko 60 lat temu w szkicu pt. „Rzut oka w daleką przyszłość" wybitny uczony polski — Wacław Nałkowski — pisał m. in.:

„Jeżeli okiem geologa przebiegniemy dzieje naszej planety od czasu przypuszczalnej Laplasowej mgławicy, aż do chwili obecnej, to przedstawi się nam ona równie znikomą, jak wszystkie minione — przedstawi się jako skutek przeobrażeń przeszłych, a zarazem jako podstawa przeobrażeń przyszłych: przeniknąć przyszłość — to nieprzeparte pragnienie duszy, a zarazem wielkie zadanie nauki!".

Przeobrażenia, jakie czekają ziemię w przyszłości, muszą — zdaniem uczonych idealistów — doprowadzić do nieuniknionej katastrofy, tj. śmierci wszechświata. Już nawet jednak Nałkowski nie podziela tego zdania, wierząc, że ani nie uleci ciepło ziemi, ani że ziemia ostygnie, ani że woda i powietrze przenikną w jej wnętrze i stanie się ona z planety satelitą, nie boi się też wygaśnięcia słońca ani entropii, uważając, że śmierć ziemi wcale nie jest nieuchronna. Wprawdzie niektórzy uczeni pocieszają się tym, że świat będzie istniał miliony lat i najbliższe pokolenia mogą być o swój los spokojne, jednakże dla Nałkowskiego jest to żadna pociecha.

Uczony jest przekonany, że w ciągu milionów lat ewolucji ludzkość wyolbrzymieje, ujarzmi przyrodę, zapanuje nad śmiercią, będzie wytwarzać sztuczne otoczenie i kształtować oblicze ziemi. Dlatego też pisze tchnące głębokim optymizmem słowa:

„...gdy wszystkie słońca zagasną, gdy energia ich się rozproszy — ...wówczas śród zimnych i ciemnych przestworów wszechświata zabłysną słońca nowe, nowe skupienia energii, — słońca myślące i czujące, o woli tak potężnej, iż będą dowolnie koncentrowały w sobie potrzebne zapasy energii i dowolnie ją kierowały istoty niezależne od otoczenia, lecz stwarzające sobie same otoczenie sztuczne, zależne od ich woli potężnej..."

Cytowane poglądy Nałkowskiego były na początku XX wieku pewnego rodzaju rewelacją i nie byle jaką trzeba było mieć odwagę, by się pod nimi podpisać. Dzisiaj, po upływie kilkudziesięciu lat, to, o czym marzył samotnie wybitny uczony i społecznik — stało się wspólnym marzeniem milionów ludzi. Że tak jest istotnie — świadczą liczne ankiety i dyskusje organizowane ostatnio przez szereg czasopism polskich. Oto np. redakcja „Świata Młodych" ogłosiła konkurs pt. „Jak będzie za 100 lat?" zaś „Płomyczek" — „Jak sobie wyobrażam świat za 100 lub 200 lat?" Sięgnijmy do tych materiałów, by przekonać się, o czym myślą dzieci i jaki świat widzą w swych najśmielszych marzeniach?

Oto kilka charakterystycznych wypowiedzi:

„Domy a nawet całe osiedla będzie się budować w powietrzu, aby zawsze ludzie mieli ładną pogodę".

„Nie będą już potrzebne kwaterunki i zagęszczenia mieszkań, czy wspólna kuchnia dla kilku rodzin. Każda rodzina będzie miała duże mieszkanie z wygodami i z ogródkiem".

„Ziemia zacznie się wyludniać, bo stoi otworem wiele innych planet, dokąd ciągną całe chmary pojazdów kosmicznych".

„Chore wnętrzności zastąpią nowe z nylonu".

„Nie będzie milicji ani wojska, ani sądów, gdyż mózg elektronowy z łatwością odgadnie złe zamiary".

„Zazdrość, wojna i inne wady ludzkie nie mają tu miejsca".

Ta bajeczna przyszłość wyczarowana przez dzieci może wywołać u dorosłych uśmiech niedowierzania czy lekceważenia. Ma jednak ona realne oparcie o potęgę ludzkiego rozumu, o postęp techniczny i towarzyszący mu rozwój nauk humanistycznych. To już nie jakaś abstrakcyjna fantazja, ale wybieganie myślą naprzód. Młodzież ma do tego pełne prawo, w jej oczach rozgrywają się bowiem wydarzenia, o których rodzicom nawet się nie śniło. Ostatnimi zaś osiągnięciami uczonych, zwłaszcza w dziedzinie kosmosu, pasjonuje się cały świat, z niecierpliwością oczekując momentu, w którym człowiek postawi stopę na Księżycu czy Marsie.

O ile jednak młodzież potrafi widzieć w tych coraz to wspanialszych zdobyczach techniki zachętę do jeszcze śmielszych marzeń, o tyle wśród starszych pokoleń — obok uczucia podziwu — jakże często wkrada się nuta obawy i zwątpienia w sens tego pasjonującego pojedynku z naturą. Postęp techniki zdaje się nie tylko olśniewać, ale i przerażać, zmuszać do poważniejszych refleksji, do wybiegania myślą w odległą przyszłość. Najwymowniejszym dowodem tego jest dyskusja, jaka toczy się na łamach „Życia Literackiego" na temat stosunku techniki do humanizmu. Z dyskusji tej — zwłaszcza z wypowiedzi Marii Dąbrowskiej i Jerzego Zawieyskiego — przebija ton zadumy i poważnej troski o przyszłość ludzkości, która dzisiaj pada na kolana przed techniką, odrzucając i degradując humanistykę, przeżywającą w naszych czasach niewątpliwy kryzys.

Trudno dzisiaj zaimponować społeczeństwu nawet kilkutomową monografią literacką, natomiast znacznie łatwiej można się znaleźć na ustach milionów dzięki skromnej broszurce na temat lotów kosmicznych. I to jest właśnie specyfika naszych czasów: głód wiedzy, wiedzy technicznej. Głodu wrażeń estetycznych — niestety — w tym stopniu społeczeństwo nie odczuwa. Nic więc dziwnego, że do dysput prowadzonych przez humanistów wkrada się nastrój przygnębienia i zwątpienia w przydatność społeczną i jakiś głębszy sens badań naukowych, których efektem nie może stać się żaden wynalazek.

Czy jednakże tylko nauki humanistyczne zdają się tracić na wartości? Oddajmy w tym miejscu głos Jerzemu Zawieyskiemu, który pisze:

„Cóż nam z rozwoju cybernetyki i cudów dokonywanych w dziedzinie astronautyki, kiedy Hindusi mrą z głodu i bezdomności milionami, kiedy ludy Afryki i niektóre Azji żyją ciągle na stopie człowieka z epoki najgłębszego zacofania? A Europa? Po cóż wyliczać paradoksy i sprzeczności — rzucają się one same w oczy, choćby w Paryżu, gdzie o każdej porze roku przed wylotami metra rozciągają na noc swe łachy nędzarze i śpią na deszczu, wietrze i mrozie. Nie lepiej jest we Włoszech, zwłaszcza na południu".

Trudno odmówić racji Zawieyskiemu, gdy twierdzi, że jeśli ludzkość nie potrafi zapewnić trwałego pokoju na świecie, zlikwidować głodu i bezrobocia oraz problemów mieszkaniowych — to znaczy, że nie jest zdolna wykorzystać zdobyczy techniki dla własnego dobra. Co gorsze — technika może się obrócić przeciwko niej, jak to już przecież nieraz miało miejsce, gdy genialne wynalazki z dziedziny chemii i fizyki zamieniały się w narzędzia masowej zagłady.

Jeśli postęp techniczny pójdzie swoją drogą, rozluźniając kontakt z humanistyką — zatraci swój sens i istotny cel, jakim jest ułatwianie życia człowiekowi. Postęp techniczny nie może istnieć dla samego postępu, nie może być sztuką dla sztuki, gdyż jego wyłącznym celem jest służba dla człowieka, dla tego, który żyje dzisiaj, dla jego dzieci i dla tysięcy przyszłych pokoleń. Mieć zawsze przed sobą i widzieć jasno cel, jakim jest człowiek — to naczelna i jedyna dewiza postępu technicznego. W tym też tkwi głęboki sens życia ludzkiego, że każde pokolenie buduje szczęście następnemu, że stara się jak najbardziej udoskonalać warunki życia, dążąc wiecznie do coraz wyższych form egzystencji.

Pisał już o tym zresztą Juliusz Kaden-Bandrowski w zakończeniu „Generała Barcza", każąc swemu bohaterowi — majorowi Pyciowi— zastanawiać się nad sensem życia ludzkiego i rozwojem techniki. Oddajemy mu zatem głos:

„— Po co?... — Moje życie, panie generale, albo cudze, albo nasze?... — Moje, cudze, mojej matki albo nasze?... — Żeby za lat dziesięć, dwadzieścia, z każdą chwilą — coraz łatwiej... Pod każdym względem... Więc — żeby tornister był praktyczniejszy... Albo — żeby łatwiej znieczulano... Albo — co tam trzeba w sprawie uzupełnienia tablicy pierwiastków chemicznych... Albo — żeby, jak będziemy wracać kolejką, nie przesiadać się już, a prosto... Ułatwienie — ułatwienie... Żeby ten nie znany nam, obojętny człowiek, który będzie z jakiegoś powodu iść za lat trzydzieści czy czterdzieści na przykład przez plac Zbawiciela — żeby nie potrzebował gonić, dyszeć... Lecz żeby od razu, krótszym sposobem mógł znaleźć wygodniejszą komunikację... Wieczne ułatwienie... A jakaż to ulga, panie generale, w tym dobrotliwie przypuszczanym i z góry zakładanym nonsensie, że: „Gdyby tak myśleć chcieli wszyscy... Wtedy..."

Zadaniem postępu technicznego jest zatem stwarzanie nowych, coraz lepszych warunków dla życia na ziemi, ale jednocześnie ogromną rolę ma tu do odegrania i humanistyka, której celem jest wychowanie nowego czło-

(Dokończenie na str. 7)

do niego przede wszystkim członkowie dzielnego zespołu teatralnego, którego droga też nie jest usłana różami. Spróbujcie coś wystawić w nieopalonej remizie strażackiej przy dziesięciostopniowym mrozie. Albo kostiumy. Zespół marzy o zagraniu „Zagłoba swatem", ale skąd tu zdobyć 17-wieczne stroje i szable? Zwłaszcza że w przedstawieniu wszystko musi być jak najbardziej dosłowne. Wieś nie uznaje daleko posuniętej umowności teatralnej. Żadnego tam wyobrażania sobie, że kolumna z herbową tarczą to cała wspaniała sala zamkowa.

I tak płynie życie kulturalne mieszkańców gromady Tomaszowice.

Alina Tomaszewska

TRAMP

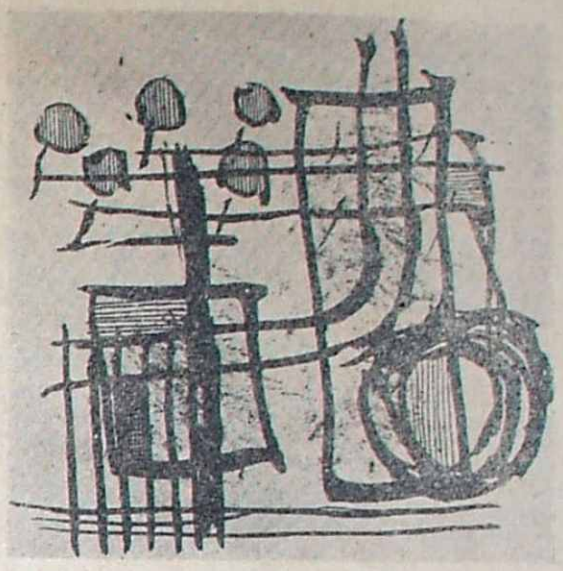

MARIA SZCZEPOWSKA

Zbocze wąwozu trysnęło światłem. Złote łby kasztanów błyszczały na tle nieruchomych sosen. Usunięte nieco w cień, jak kielichy z florenckiego szkła stały szkarłatne buki. Między nieregularnymi konturami drzew niebo miało intensywny błękit. Kiedyś z taką rozkoszą odnajdywałem ten błękit na niektórych wazach japońskich. Dziś budził we mnie wstręt.

Gniew wybuchał w zakamarkach rozbitego bezsennością mózgu. Jeśli na zaścielających dno wąwozu suchych liściach zaszeleszczą tamte kroki, które szły za mną, będę musiał wstawać i iść. Kto wie, czy ostatnim wysiłkiem woli nie trzeba będzie skoczyć w krzaki tarniny, która do krwi rozdrapie mi twarz i spuchnięte ze zmęczenia ręce. I biec. Tym ostatnim biegiem, który na strzępy rozszarpie charkoczące płuca. Pod powiekami osiadały drobiny kurzu. Na tle oświetlonego wąwozu wirowały dużymi, szarymi płatami. Zasnąłbym, gdybym położył głowę na kamieniu. Pasąc oczy orgią jesiennych barw, które wytrysły, kiedy wyszedłem z ciemnego lasu, usiłowałem zmóc zmęczenie.

Bardzo niedawno stałem przed znanym mi antykwariatem. Nie mogłem mieć kielichów z florenckiego szkła ani waz japońskich z czasów dynastii Yung, ani ciężkiego łańcucha z kutego złota. Antyki wymagają mieszkania. Ale mógłbym mieć maurytańską bransoletę z karbunkułem. Zmieściłaby się w kieszeni.

Od wnętrza sklepu oddzielała mnie szyba. Tak blisko przysunąłem do niej twarz, że zmatowiała od oddechu. W kieszeni miałem diament oprawiony w ołów. Był ostry i ciął szkło bezgłośnie. Mogłem przeciągnąć nim po szybie, palcami stuknąć w zarysowany prostokąt i szkło upadłoby na miękką draperię wystawy. Potniały mi palce. Mokrą dłonią ścisłem wyślizganą rączkę złodziejskiego narzędzia. Antykwariusz siedział w ciemnej budce kasy, ekspedienci, w firmowych fartuchach, rozmawiali ze sobą, klientów w sklepie nie było. Mijali mnie obojętni przechodnie. Wziąłbym tylko tę bransoletę. Nosiłbym ją w kieszeni, a nad ranem, kiedy śpiącego pod mostem, budził mnie ostry chłód nocy, przytykałbym ją do twarzy. Przed wystawą zatrzymał się człowiek w wystrzępionej marynarce. Odszedłem kryjąc twarz przed jego wzrokiem.

Wydałem w ręce policji kobietę, która mnie wciągnęła w to wszystko. Paserzy mnie z kolei wydali policji. Musiałem porzucić malutkie knajpki Grinzingu, gdzie w towarzystwie uróżowanych dziewcząt piłem piwo z preclami i ciężkie, idące w nogi wina. Nawet brzydki skwerek, na którego samotnych ławkach nad płachtami gazet zasypiali urzędnicy bez twarzy, przestał być bezpieczny Nie mogłem siadać tu o zachodzie i patrzeć, jak rojem gołębi wyfruwających z chimer i maszkaronów tryska w powietrze nieregularna bryła Karlskirche. Nie mogłem, przez wycięty w szybie otwór, wyciągnąć bransolety z karbunkułem. Tych dwu ciągle szło za mną. Ich twarz wyłaniała się z każdej przygodnej twarzy. Zakrztusiłem się histerycznym śmiechem. Policjant i złodziej. Ledwie przewinę na nogach śmierdzące onuce, ledwie zasznuruję trzewiki, będę musiał wstawać i iść nakładając już w biegu wymiętą marynarkę. I znów, jak kiedyś bransoletę, zostawię ten wąwóz.

Jutro przyjdzie deszcz, obtłucze bursztynowe liście, roztrzaska florencki kryształ buków, a miotające się na wietrze gałązki rozgniotą jagody. Czerwone owoce będą zwisać niechlujnie, jak flaki miniaturowego zwierzątka rozszarpanego przez sowę. Nawieje śniegu. Wszystko będzie takie, jak szkic zrobiony tuszem na białym kartonie. Nienawidziłem tych szkiców. Prześladowały mnie we wszystkich podrzędnych hotelikach. Zjawiały się tak nieodmiennie jak wisząca żarówka okryta kloszem z matowego szkła karbowanego na kształt ordynarnego kwiatu, jak obtłuczona umywalka i skrzypiąca szafa o nieznajomym, obcym zapachu. Zawsze takie same: w Paryżu, Florencji, Wiedniu — przedostatnie dno każdego z tych miast o pysznych fasadach.

Taki sam szkic oprawiony w obrzydliwą, gipsową ramkę wisiał u nas na ścianie. Wieczorami siadała pod nim moja matka. Zatłuszczonymi kartami kładła pasjans na zielonej, pluszowej serwecie i mamrotała do siebie, że kiedy wygra proces, wypłacą jej zaległą za dziesięć lat rentę i wtedy będzie mogła wykształcić troje dzieci. O mnie nie mówiła, bo byłem najstarszy i zarabiałem na siebie, choć ona nie wiedziała jakim sposobem. Ta sklerotyczna, zdziecinniała staruszka wygrała proces, a ja ukradłem jej pieniądze i uciekłem z kobietą, którą potem wydałem w ręce policji.

Zdawało mi się, że w głębi lasu słyszę kroki. Wstałem i stąpając tylko po trawie, żeby nie dotknąć stopą szeleszczących jak papierowe róże zeschłych liści, poszedłem dalej. Oni szli już za mną. Nienawidzący się wzajemnie a przeciwko mnie sprzymierzeni ze sobą: policjant i złodziej.

W STRONĘ

UWODZICIELSKA MUZA

ZDZISŁAW JASTRZĘBSKI

Cóż, za oknem poezja, drogi taki kawał
Może gwiezdnej lub polnej, przyniesie mi wonie,
Może tylko po niebie jak meteor spłonie,
Gdy będę miastu słowo ostatnie oddawał.
(Zb. Falkowski — Lubelska ulica)

Chyba żadna ze sztuk nie ma tylu wielbicieli co poezja. Nie czytelników, lecz tych, którzy przynoszą tej pani bukieciki złożone z kwiatków, oczu, intymnych smutków i radości, zachwyceń i gwiazd... Czasem ma się wrażenie, że więcej jest piszących wierszy niż czytających. Bo pomyślmy: nakład tomiku poetyckiego wynosi na ogół 1000 egz. i to z trudem się rozchodzi, a adeptów poezji jest z pewnością wiele, wiele więcej. Trudno rozszyfrować ten paradoks, zresztą w tym szkicu chcielibyśmy zająć się sprawami samego startu poetyckiego — ku uczczeniu startu działu młodych, który siłą rzeczy skupi się głównie wokół tej uwodzicielskiej (i zwodniczej) muzy.

Otóż dużo tu się jeszcze błąka „młodopolszczyzny". Pomijam takie sformułowania, jak „Muszę być z Tobą za wieczność niepamięci" czy włóczące się wieczory, deszcze itd. Chodzi o ładunek nastrojowości i poetyzacji. Mnóstwo tu smutków, zadumy. Nie jest to wynik „doświadczenia życiowego", lecz znalazło się na prawach poetyzacji. Taki sąd dyktuje struktura wierszy, nie znajomość autorów.

Odchodzą białe brzozy
i dla nich jestem smutny

Nawet w wierszach, które posługują się „nowoczesnymi" konwencjami jest ten sam duch, tyle że zdeformowany składniowo.

Wieczór włóczył
ona ona ona
z blond włosami
które mają kształt wszystkiego

Jeśli szukać bardziej doświadczonych poetów, to nasuwa się choćby tomik Markowej, której twórczość także oparta jest przede wszystkim na poetyzacji. Wiąże się z nią nastawienie na ładność. Chyba tym głównie można wytłumaczyć sobie popularność obrazków-cacek, pejzażowości i... erotyków. Motywy oczu, ust, spotkania.

Myślałem
oczy Twoje są z atłasu
i ognia...
A one były z kolorowych uśmiechów.

Prawie żadnego pogłębienia. Są przyjemne, ale więcej wzrusza się autor niż czytelnik. Bo jest w tej poezji też dużo konfesyjności.

Tkwi ta poezja jeszcze w wieku sielskim i jakże w nim uwodzić Muzę? Tkwi w sielankowości. Nie poszła nawet za tendencją współczesnej poezji do brutalizacji (Grochowiak, Bursa, Czycz), która ma tę dobrą stronę, że przełamała sielankę. Nie chodzi o to, by wprowadzać tragizm, brutalizmy, przybierać cyniczną maskę. Chodzi o wyzwolenie się z bierności (znamienny motyw czekania, który się powtarza), z łatwości układania wierszy i ładności. W jakim kierunku pójść? To sprawa wewnętrznego zmagania się i krystalizowania swojego świata poetyckiego. Tu krytyk nic nie pomoże. Potrafi raczej ostrzec. Może zmobilizować do większej czujności i samokontroli, której za mało widać, lub... zniechęcić. Rolę kontrolną i dynamizującą mogą też spełnić „grupy" poetyckie, jeśli nie popadną w sztampę urządzania wieczorków, jeśli zdołają wytworzyć atmosferę twórczego fermentu i ostrych, nie kłótliwych dyskusji.

Parę słów o wieku górnym. Widać pewne symptomy podejmowania tematyki współczesnej, a raczej próby wartościowania świata ironii i autoironii.

wołamy do wysp słonecznych
zaczadzeni życiem
dwudziestoletni orfeusze
zmyślonych eurydyk
akrobaci wspomnień

Mieszczą się tu próby nowatorstwa, ograniczające się głównie do reformacji składniowej, krótkich wersetów, eliminowania logicznych przesłanek między obrazami. Nie widać jednak pokusy w kierunku „wyzwolonej wyobraźni", która stała się już modą.

Rzecz ciekawa, że lepsza jest na ogół proza poetycka, ale jeśli przyjrzeć się jej bliżej, okaże się, że to pewna ucieczka. W prozie owe nastroje i sielskość przestają być tak ograne, zwłaszcza że zaprawione są zwykle refleksją. Przybierają też postać stylu baśniowego. Niemniej jednak są. Świadczy jednak ta proza o nieśmiałych próbach wyzwolenia się z utartych dróg, chociaż niepokoi to, że dotąd jest raczej szukaniem innych form dla poetyzacji.

Tyle razy przechodziliśmy tą drogą. I zawsze szare deski płotu, który nas dzielił, kojarzyły mi się z nim — człowiekiem, który szukał połamanych wiatraków.
Po co mu one były?

Widać wszakże w naszej młodej poezji świadomość konwencji i to każe patrzeć na nią bardziej optymistycznie. Są nazwiska o bardziej zdecydowanym obliczu. To właśnie każe formułować bardziej ostre sądy, wynikłe może z przykładania zbyt wysokich miar, ale przecież jest w Lublinie (i okolicy) wielu poetów, jest potencjał, brak tylko dynamiki. Stąd ta cała sielankowość.

Nie Poezja ma uwodzić. To ją uwodzić trzeba.

W kraju bajki kruka Bataki

ANDRZEJ ZGORZELSKI

Gdzieś daleko, w kraju nieznanym i obcym ludziom, co dziś okrywają się płaszczem realności, w kraju pełnym paproci tajemniczych i goździków leśnych, jak krew czerwonych, w kraju, gdzie osa nie żądli i kruk jest stworzeniem najmądrzejszym, w kraju tym, dziwnym zrządzeniem Bożym, znalazło się dwoje ludzi (cóż znaczy człowiek?).

Nie pochodzili oni z rodu królewskiego i nie byli piękni (cóż znaczy piękność?). Ludzie ci nie byli postaciami z bajek, a jeśli z bajką mieli coś wspólnego, to chyba to, że było ich tylko dwoje w tym kraju i że byli młodzi (cóż znaczy młodość?). Choć żyli spokojnie w lasach i nie znali jedno drugiego, choć nie mieli żadnych kłopotów — brak im było czegoś.

Aż kiedyś mężczyźnie przyśniło się to, za czym tęsknił. A że po śnie tęsknota zwiększyła się jeszcze, opisał swój sen mężczyzna na kawałku brzozowej kory białej.

„Raz w kraju nieznanym i obcym ludziom, w kraju pełnym paproci tajemniczych i goździków leśnych, żyli królewicz i królewna. Oboje byli młodzi i piękni. I gdy zobaczyli się po raz pierwszy, zakochali się w sobie od razu. Spotkali się bowiem kiedyś przy strumieniu i on, zdziwiony i pokonany jej pięknością, osunął się do jej nóg i złożył głowę na kolanach kobiety. A ona wzięła jego głowę w dłonie i zachwyt czaił się w odbiciu jej twarzy w strumyku, a on pokochał ją jeszcze więcej, jeśli to było możliwe. I odtąd byli zawsze razem. Ona brała jego głowę w ręce i uśmiechała się, gdy całował jej otwarte dłonie, a on kochał ją coraz więcej, o ile to było możliwe. I tak szło życie, aż kiedyś on położył ręce na jej piersiach i poczuł bicie serca i pokochał ją jeszcze więcej, jeżeli to było możliwe. Wieczorem zaś, gdy siedzieli na piasku przed pieczarą, objął ją ramieniem i całował i pieścił ustami jej włosy długie. I czuł, że kocha ją jeszcze więcej, jeśli to było możliwe. Aż gdy noc podniosła wysoko nad głową latarnię księżyca, aby się im przyjrzeć z bliska, powstali i weszli do pieczary, gdzie tatarak zielony woń z siebie ścielił na kamienistej podłodze. A gdy dzień zaczął podkradać się pod rozbite na niebie namioty zmroku, wydawało się mężczyźnie, że kocha kobietę jeszcze więcej, jeśli to było możliwe".

Oto co napisał na kawałku srebrnej kory brzozowej stęskniony mężczyzna. I gdy leżał nad potokiem, rozmyślając o pięknej królewnie, kruk czarny porwał korę brzozy z poematem miłości, a przelatując nad jaskinią, gdzie spała jeszcze wtedy kobieta, wypuścił z dzioba poemat (cóż znaczy poezja?), który spadł u wejścia do pieczary.

A zdarzyło się to wszystko naprawdę (cóż znaczy prawda?), w kraju obcym i nieznanym, i nie trzeba, abyśmy szukali w tej opowieści innych znaczeń. Ażeby zaś ta historia była jeszcze prostsza, powiem, że nie chciano w kraju bajki kruka Bataki, by pozostali w nim ludzie.

W kraju bajki kruka Bataki bowiem zawsze mówiono, że szczęście może panować bez człowieka (cóż znaczy szczęście z człowiekiem?).

ARTUR ZBIGNIEW METERA

(LUBLIN)

Zakochani

Po szczytach dachów, gdzie kończy się myśl, nie mogąc znaleźć oparcia w błękicie, nad miastem, co pajęczyną drutów sięgało w zamazane mgłą przedmieścia — szło dwoje młodych. Trzymali się mocno za ręce.

Nikt się temu nie dziwił. Milicjant, który strzegł porządku, uśmiechał się — przecież są młodzi i pewnie się kochają. Dlatego dobrze jest, że wędrują nad naszymi głowami, po krawędziach myśli.

Szli zapatrzeni w słowa, których nie można wypowiedzieć, ponieważ ukryte są na dnie spojrzeń.

I wędrowali długo, gdyż było to bardzo duże miasto, i dachy, gdzie kończy się myśl, ciągnęły się wiele dni i nocy.

Spojrzenia zastępowały im pożywienie i napój, a pieszczota rąk była dla nich najwyższą rozkoszą.

Przyszła chwila, kiedy musiała się skończyć ich wędrówka, bo dachy urywały się nagle nad przedmieściami zamazanymi mgłą. Nie zauważyli i musieli runąć w kamienną przepaść. Przylgnęli przeto mocno do siebie, ażeby nad stalowymi przęsłami miasta odkryć, że posiadają jeszcze ramiona i biodra, i włosy. I pomyśleli sobie, że dobrze chyba się stało, że padli z krawędzi myśli w rzeczywistość, aby odkryć inną piękną myśl natury, ucieleśnioną w nich samych.

Widać to było w ich twarzach, gdyż inaczej nie mógłby się uśmiechać zasypiając milicjant, który przecież pilnuje, żeby wszystko było w porządku.

WANDA IRZYKOWSKA

(GDAŃSK)

Modlitwa żyjących

Za profile zastygłe woskiem
ponad poziomem
niewiedzących oczu dziecka

za spazmy przerażeń
słupów ludzkich
pod murami śmierci

za przestrzelone czaszki
których krew pąsową kurtyną
przesłoniła na zawsze scenę życia

za łona matek — kolebki
nienarodzonych
które but żołdacki i kolba
przemieniały w trumnę

za ludzi — królików
poddawanych
nieskończonemu procesowi umierania

za kości oświęcimskich muzułmanów
obleczone szaro-żółtym pergaminem

za spopielałe cierpienia

nie zetrzyj ziemi
z tablicy wszechświata
gąbką siły termojądrowej
— — — — — — — — — —
człowieku dzisiejszy
zmiłuj się nad nami!

RYSZARD DĘBOWSKI

(WARSZAWA)

Pogrzeby

I oto idę.
Żałoba nocy się dłuży,
a za mną postępuje Requiem Mozarta
Zbliżam się cicho do końca podróży,
gdzie ziemia leży otwarta.

Patrzcie niosący fundament mitu,
który szlachetnieć w was będzie —
żałobnie loki zgarnięte do tyłu
wiatr to roztrząsa, to przędzie.

I tak wpatrzone w czerwień i czerń,
które na sobie niosą,
żałobnice —
— one! —
mój podejmują taniec i pieśń
spragnione.

O poezji na koturnach

WITOLD NANOWSKI

Wydaje się, że po tylu próbach określenia istoty tego fenomenu, który nosi nazwę poezji, i ta także jest z góry predestynowana na miano — syzyfowej. Niemniej jednak są w poezji naszych czasów, w wymiarze jak najszerszym dające się zaobserwować, ogólne cechy skłaniające do poważnych i głębokich refleksji nad celowością i trafnością dróg, którymi kroczy nowoczesna muza.

Nie ulega wątpliwości, iż rację mieli starożytni Rzymianie, gdy mówili: „Non scribit, cuius carmina nemo legit".

Cóż, gdy w naszej epoce, u nas w kraju powstał nowy paradoks, wręcz odwrotny do złotej sentencji starożytnych. Mamy bowiem bardzo liczną plejadę pegazowiczów, których pieśni niestety nikt nie czyta. Czyż oznacza to, że jesteśmy narodem obojętnym na piękno mowy wiązanej? Wręcz przeciwnie. Nic bardziej niesprawiedliwego nad taki osąd nie można sformułować. Jakież są więc przyczyny obojętności w stosunku do słynnego i przysłowiowego już dziś, a piszącego stale „tysiąca" naszych młodych poetów?

Wydaje się, że główną przyczyną jest to, iż poezja ta w swej bezapelacyjnej większości jest bezideowa.

Nie mam tu na myśli jakichś wzniosłych idei z czasów Romantyzmu, a choćby nawet Pozytywizmu, kiedy to poezja była Kopciuszkiem w porównaniu do zadań, jakie stawiano prozie.

Nie nawołuję także do tworzenia nowych Gustawów, Konradów, Kordianów czy Wallenrodów. Mam na myśli bardziej skromny aspekt, wyrażający się w jednym słowie — sens. Można pogodzić się z tym i owym. Wiele rzeczy należy uznać za konieczne. Wiemy, że nowa epoka, że szukanie nowych dróg i kierunków, że prawdziwa sztuka jest niepowtarzalna itd. Te truizmy są nam wszystkim doskonale znane. Nikt jednak na trzeźwo nie pogodzi się z tym, by sztuka była bezideowa, by utwory poetyckie były wyzute z treści. Brak treści i sensu — oto kardynalne wady, które zniechęcają do poezji tych wszystkich czytelników, którzy skądinąd wykupują skwapliwie i natychmiast każdą nową edycję poezji Leśmiana, Staffa, Lechonia, Wierzyńskiego, Pawlikowskiej, Broniewskiego. Dlaczego ci wymienieni i jeszcze inni nie wymienieni poeci cieszą się taką popularnością? Otóż przede wszystkim dlatego, że zawarli w swej poezji określoną treść, określony sens w stowarzyszeniu z piękną metaforą i ujmującą świeżością obrazu. Rebus czy szarada nigdy nie wprowadzą nas do pięknego kraju głębokiej zadumy i wzruszenia. Cóż byłaby warta słynna „Elegia o śmierci L. Waryńskiego", gdyby podał ją autor w zaszyfrowanej, nieczytelnej i nieodgadłej formie. Ogromny ładunek liryzmu i idei, świeżość i prostota przeżycia oraz obrazowość sprawiają, że smutek przejmujący zawarty w niej nie jest smutny i nawet sama śmierć staje się nowym życiem

Udziwnianie i pesymizm — oto nieodłączni prawie towarzysze naszego młodego tysiąca. Odstręczająca koturnowość staje się powszechnie przyjętą manierą twórczą, która jeszcze bardziej pogłębia dystans pomiędzy czytelnikiem a podana mu bezlitośnie zaszyfrowaną beztreściówką. Oswobodzenie się z ram rymu i rytmu wyzwala całkowicie z wszelkiej dyscypliny pisarskiej i daje możność uprawiania tak łatwo pojętej poezji nowemu, drugiemu tysiącowi poetów, których tradycja słowa wiązanego nie obchodzi, którym kierunki poetyki wieków ubiegłych i teoria beletrystyki jest mało znana, co niezbicie wypłynęło w trakcie szerokiej dyskusji o poezji, prowadzonej na łamach naszych czołowych pism. Doszło bowiem w czasie tej dyskusji do zabawnego „qui pro quo", gdy zjawiska dawno przebrzmiałe uważano błędnie za nowe i na prochach futuryzmu, dadaizmu czy surrealizmu usiłowano zapalać nowe gwiazdy awangardowe.

Wszystko to razem stworzyło błędne koło, spoza którego nikt się, rzecz jasna, nie wymknął, bo nowy kierunek w poezji jak dotychczas u nas nie powstał.

To niedobrze, że poezja naszych dni wspięła się na koturny. Jest przecież ona, a przynajmniej winna być najgłębszym, najbardziej przejmującym i zrozumiałym wołaniem duszy ludzkiej. Skąd więc ten ton obcości, nieczytelności, starości i pesymizmu u młodych?

Komu uda się strącić ją z koturnów, uczynić ludzką i bliską czekającym milionom, świeżą i pełną prostoty, komu uda się odsłonić jej nowe, niepowtarzalne oblicze, w epoce gdy ucieleśniona myśl ludzka szybuje do gwiazd? Lecz pamiętajmy o tym, że zanim myśl ta ucieleśniła się, geniusz ludzki kształtował ją przez długie wieki. To samo dotyczy poezji. Aby zawiesić na jej firmamencie nową gwiazdę, która by urzekła wszystkich swą niepowtarzalną urodą, trzeba poznawać w ciągu długich lat całą drogę, jaką przeszedł kiedyś nieznany poeta w ciągu jeżeli nie tysięcy, to przynajmniej setek ostatnie wiosen. Bo jak słusznie mówią zdolni Francuzi: „Geniusz — to praca".

Sztuka, którą tworzymy, winna stać się bliska, zrozumiała i ludzka jak życie. Tyle w budowanym z takim poświęceniem socjalizmie jest momentów i akcentów głęboko wzruszających i prawdziwych w swym humanizmie — bez masek, pozy i koturnów. Więc dlaczego sztuka naszej epoki jest tak zamaskowana i tak się konspiruje? Czy nie czas już największy zejść ze sztucznego podium i dać coś tej idei, która przecież też nie może żyć samym chlebem. Zejść z podium, by jak to kiedyś pięknie napisał Majakowski: „Ja k wam prijdu, kak żiwoj z żiwymi goworia"...

I niewątpliwie ma on całkowitą rację. Bo z żywymi trzeba rozmawiać językiem żywych, nie zaś wątpliwymi błyskawicami skrótów, mających rzekomo sygnalizować na tle głębokich ciemności, marazmu i stagnacji — światło domniemanej nowoczesnej poezji.

Ich pierwszy krok

TADEUSZ KŁAK

Pierwsza lektura wierszy Jacka Łukasiewicza sprawia zawód. Chyba dlatego, że uwagę przyciągają rzeczy raczej dla niego drugorzędne, choć na swój sposób ważne: ślady zapożyczeń, reminiscencje, dowody niewątpliwej kultury literackiej autora, co oczywiście krytykom kojarzy się prawie zawsze z wtórnością. Recenzenci zbioru „Moje i twoje"[1]) chętnie skorzystali z łatwej parafrazy, jaką podsuwał tytuł, i z satysfakcją wypominali co nie jest własnością Łukasiewicza. Nic łatwiejszego. Nikt prawie nie próbował określić, co w zbiorze należy naprawdę do Łukasiewicza, do jego niewątpliwej wyobraźni.

Dopiero następne czytanie pozwala na dojrzenie odrębności poety. Nazwałbym Łukasiewicza poetą odważnym. Nie dla odkrywczości tematycznej czy innej, nie. Odważnym w sensie nie zacierania śladów poetyckiego terminowania, nie silenia się na jakieś formalne pseudonowatorstwo, o które dziś tak łatwo. Cienki tomik wrocławskiego poety wskazuje na szerokie, nie wykrystalizowane jeszcze możliwości. A więc mamy bardzo udaną próbę pejzażu lirycznego („Las zimowy"), baśni („Podróż do Lulea"), groteski („Wizytówka"). Ma też Łukasiewicz dar nadawania wartości poetyckiej rzeczom, które zazwyczaj bywają od poezji dalekie. Myślę, że wiersz „Pięta" jest taką rehabilitacją poetycką pięty, jakiej kiedyś dokonał Tadeusz Różewicz w odniesieniu do teściowej („Dytyramb na cześć teściowej").

Ale nade wszystko jest Łukasiewicz poetą kultury, poetą stylizatorem. Jego inspiracje tkwią w zasadzie w tradycji. Często wiersze jego korespondują z barokiem, z jego zmysłowością, zamiłowaniem do groteskowej makabry, dalekiej od naturalizmu. Częściej jeszcze z tym nurtem poezji współczesnej, którą można umownie oznaczyć nazwiskiem: Federico Garcia Lorca. To takie choćby utwory, jak „Janina", „Król Pedro", „Pelleasz", a zwłaszcza świetna „Donna Blanca":

Donna Blanca na mnie się gniewa,
donna Blanca spogląda na drzewa.

Stoją kruche powietrzne dzbanki
nad włosami donny Blanki.

Pierwsze dwa wiersze — powtarzane co jakiś czas, tak też często robi Lorca — spajają całość stylizowaną na cygańską romancę.

Łukasiewicz nie stara się być za wszelką cenę oryginalny. Nie naśladuje w widomy sposób poetyki awangardy, nie włącza się w baśniotwórstwo poetyckie typu Harasymowicza, nie atomizuje zdania i słowa sposobem Mirona Białoszewskiego. Próbuje budować własne oblicze.

Inaczej poczyna sobie Jerzy Wilmański, autor zbiorku „Poemat niedoskonały"[2]), z serii „Biblioteka Poetów 1959" (przy okazji chwała Wydawnictwu Łódzkiemu za mecenat nad poezją i poetami, szczególnie za umożliwianie startu nowym nazwiskom). Na skrzydełku zbioru znajduje się notka autora o sobie. Warto ją zacytować: „Mam lat 23 i niewiele poza moimi wierszami o poezji mogę powiedzieć. Nie mam ambicji zmieniania świata. Tematyka moich wierszy mieści się w kręgu przeżyć drobnych i — w epoce sputników — mało znaczących. Dziewczyna, park, ulica — widziane oczyma zwykłego człowieka — to mój świat poetycki. Na razie. Chciałbym, aby przy bądź co bądź nowoczesnej formie nie odejść od komunikatywności. Żeby mój wiersz przeczytał i odczuł nauczyciel, student, robotnik".

Ta „bądź co bądź nowoczesna forma"! Różewiczowska poetyka prostych zdań, dyskrecji i opanowania zdążyła się zestarzeć i wydać już swoich epigonów. Wilmański jest nie pierwszy wśród nich i nie ostatni. Dajmy zresztą spokój niefortunnie wygłoszonemu programowi. Ważniejsze są utwory, one przecież decydują ostatecznie o obliczu poety. Niektóre z nich wskazują na kontynuację różewiczowskiej liryki sytuacji, liryki zdarzeniowej („Zdarzenie z barmanką") i to z dobrym wynikiem. W zasadzie jednak nie przylega ona do kameralnego świata poezji Wilmańskiego. Szuka wtedy autor — także z dobrym skutkiem (patrz „Dziewczyna z „Honoratki") — pomocy w poetyce bardziej klasycznej.

Światem poezji Wilmańskiego rządzą dwie antynomie, składają się na niego dwa przeciwstawne nurty: rzeczywistość rodzinnego miasta, wypełniająca wiele wierszy. Cytat z wersza bez tytułu:

więc stoję
opuściwszy ogołocone z uścisków
ręce
taki śmieszny obłąkany
Marco Polo łódzkich ulic

I drugi, świat wyobraźni, nierzeczywisty, lepszy:

tam
to znaczy bardzo daleko
za dwudziestą piątą rzeką

To „za dwudziestą piątą rzeką" jest zwrotem dla Wilmańskiego wielce znamiennym i w różnych wersjach wracającym. Poświadcza tęsknotę poety do własnego świata wyobraźni. Świat ten w wierszach blednie, wymyka się słowom, sprowadza się do stwierdzenia jego istnienia. Żywsze natomiast są utwory o bardziej tradycyjnej strukturze i kto wie, czy poeta nie na tej drodze powinien pozostać. Kontakt z najmłodszą poezją widoczny jest w wierszu poświęconym pomięci Andrzeja Bursy pt. „Pochwała władz miejskich", najlepszym w całym zbiorze. Kontakt ten ma charakter tematyczny, a więc bardziej powierzchowny. Wilmański — wydaje mi się — znajduje się w trudnej sytuacji. Powtarzać siebie — chyba nie warto. A nie widać, mimo paru przebłysków, jasno określonej drogi.

1) Jacek Łukasiewicz: Moje i twoje. Warszawa 1959, Iskry, s. 46, zł 5.
2) Jerzy Wilmański: Poemat niedoskonały. Łódź 1959, Wyd. Łódzkie, s. 35, zł 5.

EWA BARANOWSKA
(CZĘSTOCHOWA)

Epitafium

Pamięci pięknego nieznajomego partyzanta

Jestem jak drzewo zwyczajna i prosta,
tyle że liście nie pokryją mnie nigdy,
najwyżej siwe włosy.

Gdyby mnie wojna pchnęła na ciał stosy,
to czterolistną koniczyną z deszczułek
może bym dzisiaj rosła.

Słucham milczenia, co rdzeń huku tworzy,
stąpam po łzach, co stały się solą ziemi —
szukam śmierci patosu.

Nie u mnie ręce jak płacząca brzoza,
nie ze mnie okrzyk ponad najwyższą wieżę —
pomóżcie dobyć głosu.

HENRYK PAJĄK
(LUBLIN)

Powroty

Na czas swój patrzę obok,
umowne praesens historicum.
Ktoś mnie odmienia wolno i rzeczowo,
czasy są przeszłe w dotyku.

Często zdarzenie, które dzień otwiera,
jest niby scena pusta. To było.
Powroty — chwili minionej prapremiera.
Powroty — jakby ich wcale nie było.

WIESŁAW STRYCH
(LUBLIN)

W biurze

Stukają serca maszyn
Obłymi zerami.
Bywa —
Wyskoczy gałązka jedynki,
Dziewięć głowę schyli...

Cierpko smakujesz słowa.
Za zwierciadła szybą
Biją się dwa wróble
Trzy, cztery...
Biją się dwa wróble.

Omotaj głowę anielskim włosem
Srebrnymi sznurkami,
Na uchu powieś bombkę —
Czerwoną.
Śmiej się jak choinka,
Jedna,
Wiele choinek
Omotanych liczbami.

Czerwony sweterek,
Kolorem choinkowej bombki,
Czerwone sweterki
Gadające gamą odcieni
Biją się o zera
Jak za oknem wróble.

JAN SKOCZYLAS
(ZAMOŚĆ)

Van Gogh

Chabry niebo na miedzach kołyszą,
wyiskrzyła się letnia noc.
Nad rzekami kwitną rumianki.
Mgła. Białe kurzawy dyszą
wonią wiklin. Błękitnych pędów moc.
Włosy mistrza czerwone jak letnie poranki.

Ludzi nie spotyka o tej porze
wrażliwy poeta barw,
rudy wariat bez ucha.
Przyjaciela znalazł w wieczorze,
który z twarzy słoneczników starł
promienie słońca. Zwierzeń jego słucha.

MŁODYCH

Kartki z podróży

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

Moskwa: Aleja „Szosa Leningradzka"

Podróż za granicę ma dla mnie zawsze ogromny urok. Tak niewiele było tych wyjazdów po wojnie. A w czasie wojny — brr! —przymusowy wojaż do Oranienburga, a w powrotnej drodze Berlin — to nie było wesołe. Ale rok 1948 — Praga i Brno. Rok 1954 — Praga, Brno, Ostrawa i Bratislava. To już było coś. Teraz miałem odwiedzić Moskwę, Leningrad — może Tbilisi. Tylko szkoda, że nie w innej porze roku: grudzień i styczeń nie są to miesiące gościnne. Ale dobrze, że i tak. Rosji rdzennej nie znałem wcale. Wprawdzie przez miesiąc mieszkałem w uroczym Kijowie, maturę zdobyłem w Sumach i dwa lata dojrzewałem w Charkowie, ślęcząc nad anatomią i wgryzając się w materializm dziejowy, ale to zamierzchłe czasy i tylko Ukraina. Tyle przełożyłem rosyjskich wierszy, a porałem się też z prozą i dopiero teraz miałem zobaczyć kraj, który wydał znanych mi, a nieraz bardzo bliskich pisarzy.

•

Jedzie nas piątka z Putramentem na czele. Oprócz mnie: J. Brodzki, J. Łukasiewicz i L. Pasternak. Towarzystwo okazało się zgrane i przez dwa tygodnie wspólnego obcowania nie było między nami żadnych zgrzytów.

Na Dworcu Głównym w Warszawie żegna nas zawsze miły i pogodnie uśmiechnięty J. Gisges i attaché kulturalny Ambasady Radzieckiej. W wagonie sypialnym wypadło mi miejsce z Łukasiewiczem. Prócz nas w czteroosobowym przedziale dwaj młodzi sympatyczni Rosjanie powracający z Pragi. Zapaleni szachiści: prawie nie odrywają się od figurek suwając nimi po białych i czarnych kwadratach. Szczególne upodobanie młodzieży radzieckiej do tej szlachetnej gry zauważyłem już w czerwcu ubiegłego roku we Lwowie.

Brześć. Tu długi postój: formalności paszportowe i celne, a i wagony nasze trzeba przystosować do szerokich torów. Dworzec ogromny, restauracja (trzeba się rozebrać w szatni). Fundujemy sobie wspaniały opiad, nie zabrakło jesiotra, kawioru i koniaku.

Nie puszczają na peron: pociąg nasz o rozszerzonym rozpięciu kół jeszcze nie jest „podany", a podróżni (wśród nich wielu wojskowych wyjeżdżających na urlop świąteczny) niecierpliwią się, zerkając na zegarki. Podziwiam ich zdyscyplinowanie: jedna młoda ale energiczna kolejarka bez krzyku i hałasu uprzejmym uśmiechem wszystkich trzyma w ryzach.

•

Jedziemy dalej. Rozmawiam na korytarzu z pasażerką sąsiedniego przedziału. Przystojna Czeszka jedzie do swojej ambasady, aby objąć w niej funkcję sekretarki. Jest najwyraźniej stremowana, nie wie, jak to jej pójdzie; po rosyjsku mówi dość dobrze, choć z cudzoziemskim akcentem, i nie wymawia ł. Trzy lata w obcym kraju, najbliższy urlop za rok dopiero: czy wytrzyma? Przechodzimy na język czeski. Z przerażeniem stwierdzam, że wyszedłem z wprawy i brak mi słów. Rozmawiamy o literaturze czeskiej i rosyjskiej, o jej ulubionych poetach — oczywiście Wolker. Z polskimi autorami gorzej: czytała tylko Sienkiewicza, innych potrafi wymienić tylko kilka nazwisk. Wyznaje mi szczerze, że jest głodna: nie ma jeszcze rubli. A ja tu ją wetowałem literaturą! Częstuję ją tym, co zostało mi z zapasów.

Dobranoc, sleczno! Sen doskonały — 9 godzin.

•

Moskwa. Na dworcu witają naszą piątkę przedstawiciele Związku Pisarzy i ambasady — kilkanaście osób! Wśród nich poznany przeze mnie przed kilku tygodniami w Warszawie tłumacz poezji polskiej — Żiwow. Znajomię się z kol. Borisowem z Komisji Zagranicznej, doskonale mówiącym po polsku, który odtąd będzie naszym stałym towarzyszem.

Jedziemy do hotelu. „Pekin" — gmaszysko kilkunastopiętrowe. Mam duży pokój o dwu łóżkach, z telefonem i wszelkimi wygodami. Restauracja na miejscu, kuchnia europejska i chińska — do wyboru. Bo Chińczyków tu pełno.

Przy obiedzie oprócz Borisowa asystuje nam pisarz Miedwiediew. Dowcipnie opowiada o zeszłorocznej wizycie w Moskwie zamerykanizowanego Burluka, przyjaciela Majakowskiego, i o zabawnym zachowaniu się jego w czasie malowania w plenerze.

A teraz godzinny odpoczynek i przejażdżka po wieczornej Moskwie. Szerokie ulice, mnóstwo światła, różnobarwnych neonów, ruch na jezdni olbrzymi (lecz kierowcy nadzwyczaj ostrożni) — przecież z peryferiami to ośmiomilionowe miasto. Brodzki pamięta je z r. 1917 i, choć od tego czasu wiele się zmieniło, orientuje się doskonale. Pasternak był tu ostatnio podczas wojny. Putrament to częsty bywalec, ale nie ma go teraz z nami. Tylko Łukasiewicz i ja jesteśmy tu po raz pierwszy.

Z tego wstępnego rzutu oka na Moskwę największe wrażenie uczynił na mnie Plac Czerwony z Kremlem i cudem architektury bizantyńskiej — cerkwią Wasyla Błogosławionego, oraz Uniwersytet na Górach Leninowskich — wieżowiec niczym nasz Pałac Kultury z kompleksem budynków. Po godzinnej przejażdżce wysiadamy na jednej z ulic, aby się wmieszać w tłum uliczny i pooglądać wystawy: sklepy przepełnione towarem i kupującymi — przecież Nowy Rok za pasem. Od Placu Rewolucji dojeżdżamy metrem do pomnika Majakowskiego, w pobliżu którego znajduje się nasz hotel.

O metrze moskiewskim pisało się już tyle, że tylko kilka słów dorzucę. Stacja o ścianach z marmuru czy granitu, piękna w swej surowej prostocie. Po schodach ruchomych zjeżdża się kilkadziesiąt metrów w dół. Ciepło. Wentylacja doskonała. Pociągi co parę minut.

•

Już trzeci dzień w Moskwie. Wczoraj zwiedziliśmy Plac Czerwony, mauzoleum wodzów rewolucji, cerkwie-muzea (jest ich tyle!) i Zbrojownię. Zapatrzyłem się na Wasyla Błogosławionego. Jestem specjalnie wrażliwy na poezję architektury i jak swego czasu oniemiały z podziwu i wzruszenia mogłem długo stać przed katedrą mediolańską czy później przed praskim kościołem św. Wita lub gotykiem św. Barbary w Kutnej Horze, tak teraz nie mogłem oderwać oczu od wzorzystości tej baśniowej cerkwi.

A w Zbrojowni — miliardowe skarby: trony cesarskie, korony, czapki Monomacha, naszyjniki, spinki, suknie, stroje koronacyjne, karety — wszystko aż kapie od złota, srebra, brylantów, rubinów, szafirów. I jak to wszystko zdołało się uchować w czasie burzy rewolucyjnej! To zasługa Łunaczarskiego i jego dekretu: dobra narodu należy szczędzić. W innej sali, właściwej zbrojowni, — broń palna i biała: szable, kindżały, sztylety: rękojeści inkrustowane drogimi kamieniami. Wśród zbroi rycerskich jedna, jak głosi napis, to dar Stefana Batorego dla cara Fiodora.

Wnętrze świątyni Wasyla Błogosławionego kontrastuje z zewnętrznym wyglądem tej cerkwi, a właściwie soboru: wąziutkie wejście, strome schodki, mnóstwo kaplic, zakamarków — istny labirynt. A w so-

(Dokończenie na str. 7)

POEMAT o nieskończoności

WOJCIECH NATANSON

W roku 1945 wydał Zbigniew Bieńkowski, nakładem Związku Literatów Polskich w Krakowie, piękny poemat pt. „Sprawa wyobraźni". Znalazł się tu m. in. słynny wiersz „Warszawo", noszący datę 17 stycznia 1945 r.

Budowana z pamięci, krwi i ran śmiertelnych
stałaś się znowu ciałem, słowem i westchnieniem.
Dziś uderzenie serca, choćby nawet celne,
nie wzruszy mnie tak bardzo jak Twoje kamienie.
Imię Twoje odmawiam, jedyną modlitwę
za rostrzelanych, zmarłych i za niepodległych.
O każdą Twoją klęskę będę toczył bitwę,
byś była ze zwycięstwa, natchnienia i cegły,
bo Ziemia Twoja nie jest z ziemi, ale z nieba,
żywiła często głodem, lecz częściej pragnieniem.
Ułamek Twego muru jest kawałkiem chleba,
a kropla wody z Wisły największym wzruszeniem.

Jakże lepiej, z nieporównanym umiarem i precyzją poetycką oddać można było sytuację Warszawy w sercach Polski ówczesnej? W tym samym zbiorze — dziś już całkowicie wyczerpanym, a domagającym się wznowienia — znaleźć można piękne ewokacje pamięci zbratanej z poległymi żołnierzami i łącznikami Polski podziemnej.

— Ich śmierć jest równie nieodwołalna, jak kategoryczny jest obraz ich krzywdy.
A przecież wiem, że śledzicie moje myśli, ciekawi, czy poza nimi nie ukrywa się jakaś, dla was przeznaczona, nadzieja.
— — — — — — — — — — —
O was nie myślę nigdy tak, jak o umarłych.
— — — — — — — — — — —
Światło dnia rozwidnia was nawet w najciemniejszej nocy, a ciemność wyodrębnia pod najjaśniejszym słońcem.

Już ten ton skrystalizował wiasny styl poety, którego osobowość tak jest odrębna, że w zbiorze dowcipnych pastiszów Kazimierza Wyki „Duchy poetów podsłuchane" (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1959) znalazła się zabawna parodia Bieńkowskiego pt. „Przyrzeczenie".

Autor „Sprawy wyobraźni" jest także świetnym tłumaczem (Wiktora Hugo, Musseta, Saint John Perse'a, Emmanuela, Ponge'a, Supervielle'a, Lermontowa) oraz krytykiem. Jego essaye (np. o „Odmianach czasu" Butora oraz o współczesnej poezji francuskiej, zamieszczane w „Twórczości" i „Życiu Literackim") mają znaczenie kapitalne. Opublikowanie przez PIW nowego tomu Bieńkowskiego pt. „Trzy poematy" *) powinno się stać okazją do oddania pełnej sprawiedliwości temu pisarzowi.

Tym bardziej, że ambitna próba „Trzech poematów" dosięgła zakreślonego sobie celu. Chodziło, ni mniej ni więcej, o próbę współczesnego ujęcia problemów: nieskończoności, poetyki i patrzenia. Już motto z Goethego, którym zaopatrzono poemat o nieskończoności, charakteryzuje jego treść: „Czymże więc jest nieskończoność? Jak możesz się tak zadręczać? Wniknij w siebie samego. Jeśli ci tam zabraknie nieskończoności... nic ci już nie zdołam dopomóc"! Chodzi więc o wewnętrzną — psychiczną i cielesną — nieskończoność doznań ludzkich — „z każdą chwilą rozleglejsza, coraz bardziej nie do pokonania, nie do osiągnięcia i nie do zgłębienia; będąca jednocześnie żywiołem, czyli elementem materii i punktem, czyli elementem abstrakcji; będąca obszarem, szczytem, poziomem morza, geograficzną głębią i filozoficznym banałem" jest owa „przestrzeń między nami" składająca się na wyobrażenie nieskończoności „olbrzymia, z trudem mieszcząca się w pojęciu ogromu, a jednocześnie drobnostkowa; zazdrosna o najbanalniejsze uderzenie serca", „ z każdą chwilą rozleglejsza o świeżą łunę bijących od niej blasków", „jakby każda chwila otwierała w niej nową, niewypatrzoną jeszcze, a więc niepokonaną stronę światła", ...„nieuchwytna, nieodgadniona, niepojęta a wyobrażalna"... „jedyna absolutna forma poznania, nie podlegająca ewolucji", „istniejąca od pierwszych dni świata, a wciąż nieznana", „niwecząca sylogizmy, definicje i systemy samym wyobrażeniem swego ogromu", „nie znosząca żywiołowo, z samej swej struktury wszystkiego, co upraszcza, ogranicza", „przez samo swoje istnienie z najprostszej rzeczy na świecie robiąca problem nie do rozwiązania", „buszująca po wszystkich filozofiach, jakby to były pliki papieru", — oto mała cząstka świetnych oświetleń, metafor i błysków, jakie na temat nieskończoności daje w swym poemacie Zbigniew Bieńkowski. Jego widzenie świata niezmiernie przenikliwe, wyróżnia się ogromną sumą entuzjazmu radości istnienia i zachwytu. Nieskończoność nie jest dla niego ani owym źródłem rozpaczy, jakie się otwiera przed wyznawcami filozoficznego „absurdalizmu", ani znakiem niewiadomych (jak u fenomenologów), ani okazją do „skoku" w dogmatyzm (by użyć porównania A. Camusa). Jest to jedna z postaci zachwytu wobec bogactwa i intensywności życia.

„Jesteś niezakłóconym lotem ptaka widzianym z lotu ptaka, jesteś ściągnięciem brwi powietrza będącego w swoim żywiole, jesteś radością nie schodzącą na manowce a biegnącą prosto do celu, jesteś lekkością przejęta, nieskrępowana, elementarna".

Drugi poemat „Wstęp do poetyki" ma motto zaczerpnięte ze Słowackiego: „I w tym powietrzu jako w dyjamencie ukazał się wid... Piękność... córka Słowa" Istotnie, o zagadnienie słowa tu chodzi, o pojęcie słowa, o jego istotę, o stosunek słów do siebie, słów do myśli, słów do zdań, słów do rzeczy, słów do zdarzeń, słów do ludzi, a wreszcie — i słów do słownika. Bo w tym poemacie, który obrazy poetyckie (jak u Norwida czy Słowackiego) czerpie z estetycznych czy z filozoficznych rozmyślań, nie brak i odkrywczego, śmiałego dowcipu. Brzmi on różnymi odcieniami, gdy np. Bieńkowski mówi o skojarzeniach związanych z takimi wyrazami jak róża (która jest nie tylko „najpiękniejsza", ale i „sztuka kwitnienia"), ptak czy jabłko. Gdzie indziej autor chciałby, aby się „ustawili za nim książęta polszczyzny: Zabłocki na Mydle, Piekarski na Mękach i ty, święty Mironie Białoszewski, męczenniku etymologii".

Poemat trzeci — „Widzę i opisuję" — jest wielką poetycką pochwałą patrzenia. „Tylko patrzeć, a każda rzecz wyjawi w końcu czym jest. Długo certuje się, pozoruje samorództwo, pozuje, przypomina długość, szerokość, perspektywę, głębię, przybiera stopnie ewolucji, ukazuje się jak księżyc tylko od korzystnej strony, kiedy się rozlega, olśniewa swym położeniem w przestrzeni, kiedy znaczy, to rozczula swoją sytuacją w świecie, kiedy widnieje to raz przypomina to, raz tamto, a zawsze czyha na chwilę nieuwagi, cień zniechęcenia, błysk niecierpliwości, aby zawsze wszystko zacząć od początku. Patrzeć więc trzeba nieskończenie, jedyny sposób".

Jedyny sposób: Bieńkowski dostrzega uroki poetyckie wszelkich barw. Patrzenie w nie — w czerwień, czerń, szarość, błękit, zieleń, — daje nowe możliwości rozkoszy. „Moja technika jest prosta: widzę i opisuję. Staram się tylko nie przeoczyć niczego". Wierność dla tak pojętej estetyki jest jeszcze jedną przyczyną, która książkę tę każe witać jako zjawisko pierwszorzędnej wagi.

*) Zbigniew Bieńkowski: Trzy poematy, PIW 1959.

STANOWCZO ZA MAŁO...

(Dokończenie ze str. 1)

nasze są minimalne i cicho postulowane. Przeważnie jesteśmy pokonani argumentami w rodzaju hierarchia potrzeb itd. Nie możemy się jakoś wywindować na wyższy szczebel tej hierarchii. Za mało się na ten temat mówi i prawie wcale nie pisze.

Trzeba przyznać, że „Kamena" w swoim czasie dużo poświęcała miejsca tym sprawom. Niżej podpisany zamieścił szereg artykułów w latach 1954—1955. W numerze 1 roku 1956 znajduje się mój artykuł pt. „Proszę przeczytać", gdzie piszę co następuje: „W dwóch kolejnych numerach „Kameny" na początku ubiegłego roku napisałem dwa artykuły na temat sytuacji bytowo-materialnej placówek kulturalno-oświatowych, i mizernych kwot, jakie na ten cel przewidują nasze plany inwestycyjne. Artykuły nie za długie, literacko dopracowane i tytuły były nienajgorsze. No i cóż? Pochwalono nawet w recenzji, lecz przysłowiowy obraz, zgodnie z tradycją, nie odezwał się ani razu. Nikt też nie podjął aktualnego tematu, ani w prasie krajowej, ani lokalnej". I ten ostatni artykuł, mimo wagi poruszanych tematów i osobistego zaangażowania się autora nie przyniósł żadnych rezultatów. Potem nastąpiła kilkuletnia przerwa. Obecnie „Kamena" chciałaby wrócić do tych problemów i zagadnień, które przecież muszą głęboko obchodzić nas, ludzi pióra, bo dotyczą jednak przede wszystkim jakości i liczby naszych czytelników.

Upowszechnienie kultury — to wykształcenie i poszerzenie kręgu jej odbiorców. A związanych z tym spraw i problemów jest bardzo wiele. Chętnie na ten temat będziemy pisać, rozprawiać i dyskutować. Ale nie chcemy i nie możemy być osamotnieni i odosobnieni.

Skoro te sprawy staną się codzienną troską szerokich warstw społecznych, a w szczególności inteligencji i środowisk twórczych, uda się nam na pewno przełamać mur niezrozumienia i obojętności i osiągnąć sukcesy, które dotychczas obracają się jedynie w sferze marzeń.

Konrad Bielski

SPRAWA TARWIDA

STANISŁAWA GOGOŁOWSKA

Przez trzy prawie lata zaprzątał opinię publiczną jeden z najgłośniejszych w historii polskiego sądownictwa procesów poszlakowych — sprawa wybitnego naukowca, profesora Wydziału Zoologii Uniwersytetu Warszawskiego i kierownika Zakładu Ekologii PAN — Kazimierza Tarwida, oskarżonego o otrucie swojej o 20 lat młodszej żony, Teresy, która również była pracownikiem naukowym — aspirantem Wydziału Parazytologii Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego.

Mimo że upłynął już przeszło miesiąc od ogłoszenia przez Sąd Najwyższy werdyktu uniewinniającego Tarwida, zainteresowanie sprawą nie słabnie i jest ona wciąż tematem najrozmaitszych dociekań i rozważań. Głosy, że wyrok uniewinniający Tarwida był niesłuszny, nie należą wcale do rzadkości.

Do kwestii niewinności Sąd inaczej podchodzi niż publiczność. Przy badaniu sprawy Sąd, który decyduje o losie, o życiu człowieka, nie może kierować się żadnymi pobudkami emocjonalnymi. Szczególnie trudne i zawiłe procesy poszlakowe wymagają ogromnego obiektywizmu i sumienności.

Jeśli ich zabraknie prowadzi to do tragicznych pomyłek sądowych. Klasyczny przykład stanowi tu opisana przez wielkiego pisarza niemieckiego, Jakuba Wassermanna — sprawa Mauriziusa, oparta na autentycznej historii niewinnie zasądzonego profesora Haua. Profesor Hau był z pochodzenia Niemcem. Młody, liczący niespełna 30 lat, był już profesorem prawa na uniwersytecie waszyngtońskim. Posiadał ogromne zdolności i wiedzę. Mimo młodego wieku odgrywał wybitną rolę w świecie naukowym i pełnił też funkcję doradcy ekonomicznego poważnych instytucji, a nawet państw. Rokowano mu wspaniałą przyszłość. I nagle wszystko się kończy.

W drodze powrotnej z podróży, jaką odbył z żoną i córeczką do Europy, profesor Hau zostaje aresztowany pod zarzutem zamordowania w Niemczech swojej teściowej. Jedynie na podstawie poszlak — mimo że były w nich poważne luki — Sąd skazał profesora Haua, który przez cały czas twierdził, że jest niewinny — na karę śmierci. Ogromne demonstracje, nie tylko w mieście, gdzie odbywał się proces, ale w całych Niemczech, były odpowiedzią na ten wyrok. W czasie trwania procesu żona profesora Haua popełniła samobójstwo. Ostatecznie karę śmierci zamieniono mu na dożywotnie więzienie.

Dopiero po 20 latach profesor Hau, ofiara pomyłki sądowej, odzyskał wolność. Był mimo niespełna 50 lat starym, niezdatnym już do życia człowiekiem, toteż w kilka miesięcy po opuszczeniu więzienia poszedł za przykładem swojej żony.

Jakub Wassermann był gorącym przeciwnikiem wyroków skazujących w procesach poszlakowych i wraca do tego problemu przy każdej okazji. Zajmuje się tą sprawą między innymi w swojej książce pod tytułem „Josef Kerkhovens dritte Existenz", gdzie opisuje jeszcze jedną wstrząsającą historię omyłki sądowej.

Działo się to przed wojną, w Szwajcarii. Trzydziestoletni aptekarz Karol Imst został wraz ze swą kochanką Joanną Mallery aresztowany pod zarzutem otrucia żony — Selmy. Śledztwo ujawniło, że Imstowie bardzo źle ze sobą żyli, kłótnie i awantury były ich chlebem codziennym. Imst z czasem zaczął unikać domu. Pewnego dnia poznał studiującą na uniwersytecie w Genewie Jeanne Mallery i zakochał się w niej bez pamięci. Została jego kochanką. Teraz rozpętało się prawdziwe piekło. Doszło w końcu do rozwodu. Imst musiał zobowiązać się jednak sądownie, że nie ożeni się ze swoją kochanką przed upływem roku. Skutki tej klauzuli okazały się później fatalne.

Tymczasem Imstowi udało się nakłonić zakochaną w nim Mallery do wspólnego zamieszkania, jeszcze zanim będzie mógł zawrzeć z nią ślub. Wszystko zdawało się dla obojga pomyślnie układać.

Imst odwiedzał jednak w tym czasie często swoją żonę, gdyż w myśl wyroku sądowego tylko u niej mógł widywać się z córeczką, którą bardzo kochał. I tę właśnie jego ojcowską miłość potrafiła Imstowa sprytnie wykorzystać do wymuszenia na nim ponownego połączenia się z nią.

Jeanne Mallery, która z powodu ukochanego spaliła za sobą wszystkie mosty, znalazła się w nader trudnej sytuacji. Nie miała nawet gdzie się

(Dokończenie na str. 8)

NIE TECHNIKA CZY HUMANIZM – LECZ TECHNIKA I HUMANIZM

(Dokończenie ze str. 3)

wieka. Rozwój techniki daje ludzkości ogromną siłę i właśnie zadaniem humanistyki jest kontrola nad nią, by nie została użyta w niewłaściwym kierunku.

Przypuśćmy, że na odległych planetach człowiek odkryje życie, załóżmy też, że zdolny będzie do tych planet dotrzeć. Cóż będzie jednak w stanie zawieźć tym nieznanym istotom? Wojnę, grabież, śmierć, demoralizację? Jak zachowa się człowiek wobec mieszkańców innej planety? Czy przypadkiem nie będzie chciał w niej widzieć kolonii dla swego kraju?

Trudno się dziwić, że wizja przyszłości — mimo tak ogromnych sukcesów w dziedzinie techniki — zarysowuje się niejednemu człowiekowi w niezbyt przyjemnych barwach i kształtach. Oto np. przyszłość widziana oczyma Marii Dąbrowskiej:

„Mózgi elektronowe, roboty i maszyny cybernetyczne zostały doprowadzone do znacznie dalszego niż dzisiaj stopnia rozwoju. Potrafią już nie tylko dokonywać najbardziej skomplikowanych obliczeń matematycznych, ale robić nowe odkrycia w fizyce i matematyce... Nie tylko reagują na bodźce wszelkiego rodzaju, ale zdają sobie sprawę z rodzaju swych reakcji, potrafią już nimi rządzić, słowem posiadły coś w rodzaju świadomości samych siebie. Świat maszyn umie już sam siebie obracać na szmelc, a więc umierać, sam siebie fabrykować, a więc się rodzić. W tym stanie rzeczy rola człowieka redukuje się coraz bardziej, człowiek przestaje być potrzebny nawet do obsługiwania maszyn, gdyż obsługują się same".

W ten sposób wytwarza się paradoksalna sytuacja: z jednej strony człowiek dzięki postępom nauki zapewnia sobie coraz lepsze warunki życia, z drugiej zaś — jego istnienie traci coraz bardziej sens. Stworzywszy świat, który może istnieć sam — człowiek zaczyna stopniowo zanikać — „niby ślepa kiszka istnienia". Wszelkie pozostałości po nim likwidują bezpowrotnie maszyny, które podobnie jak człowiek chwasty — potrafią zniszczyć to wszystko, co im zbyteczne. Tak więc dojdzie kiedyś do tego, że po człowieku zostanie tylko legenda jako o stwórcy świata maszyn.

Postęp techniczny nie może istnieć w oderwaniu od humanistyki, gdyż wówczas prowadzi do nikąd. Trudno się bowiem zgodzić na to, by jakieś wynalazki noszące miano postępu technicznego zostały obrócone przeciw człowiekowi, zagrażały jego życiu, niszczyły plon jego pracy — przestając być zdobyczą techniki, a stając się hańbą. Ojcem postępu technicznego jest humanizm. Z jego ducha zrodziła się myśl przyjścia człowiekowi z pomocą.

Jeśli technika będzie szła w parze z naukami humanistycznymi, a jej głównym hasłem będzie służba dla człowieka, wówczas wizja przyszłości, którą tak sugestywnie namalowała Maria Dąbrowska, pozostanie na zawsze bajką. My natomiast sięgniemy raz jeszcze do Nałkowskiego, by z otuchą i optymizmem patrząc w daleką, jasną i wieczną drogę ludzkości ku coraz wyższym szczytom — móc powtórzyć za uczonym te słowa:

„Patrząc z wysokiego stanowiska ewolucji w nieskończoną otchłań przyszłości, dostrzegamy tam nie rozpaczliwe mroki wiecznej śmierci, lecz żywiące blaski wiecznego i wciąż potężniejącego życia".

Roman Rosiak

NOWE WŁADZE Lubelskiego Oddziału ZLP

Na walnym zebraniu członków Oddziału w drugiej połowie stycznia wybrano nowy zarząd, do którego weszli: Konrad Bielski (prezes), Kazimierz Andrzej Jaworski (wiceprezes), Anna Tatarkiewicz (sekretarz), Wacław Gralewski (skarbnik), Maria Szczepowska (członek zarządu). Do komisji rewizyjnej zostali wybrani: Adolf Lekki, Helena Platta i Stefan Wolski, do sądu koleżeńskiego: Feliks Araszkiewicz, Maria Bechczyc-Rudnicka i Zygmunt Mikulski.

„Kamenę" redaguje Kolegium w składzie: Maria Bechczyc-Rudnicka (redaktor naczelny), Konrad Bielski, Kazimierz Andrzej Jaworski (redaktor działu poezji) i Anna Tatarkiewicz (sekretarz redakcji).

Kartki z podróży

(Dokończenie ze str. 6)

borze Błagowieszczeńskim też nieprzytulnie: ciemno, ponuro. Ale Rublow!

Łobnoje Miesto. Tu na rozkaz carów publicznie tracono skazańców. Iwan Groźny kazał oślepić Barmę i Posnika, twórców cerkwi Wasyla Błogosławionego, aby już nigdy drugiej, podobnie pięknej, nie mogli zaprojektować. A u nas wtedy — Batory, rozkwit humanizmu. Szybko musiała Rosja odrabiać swoje zaległości. Car-armata. Car-dzwon. Przed tym dzwonem fotografował się swego czasu Bernard Shaw, żartując, że wobec niego ten olbrzym jest maleńki.

Wizyta w Związku Pisarzy. Ustalamy program naszego krótkiego pobytu. Więc Leningrad, a stamtąd, jeśli TU-104 będzie kursować, wypad na Kaukaz. Miła pogawędka koleżeńska. Żadnej sztywności.

•

Zwiedzamy południowo-wschodnią część miasta, które zachowało tu charakter przedrewolucyjnej Moskwy: domy niskie, parapiętrowe, niektóre parterowe, sporo jeszcze drewnianych. Dojeżdżamy do dzielnicy przemysłowej. Zakłady im. Lichaczowa — olbrzymia fabryka samochodów. Mijamy część miasta, która przed kilkunastu laty była poza jego obrębem, dziś powstają tu wieżowce mieszkaniowe.

I znowu Góry Leninowskie, które już widzieliśmy przedwczoraj wieczorem. Dawniej nazywały się Wróble. „Worobjowy Gory" — jest taki wiersz Borisa Pasternaka, który przełożyłem i który przypomniał mi się teraz:

Tu się skrzyżowały szyny tramwajowe.
Dalej drzew modlitwa. Dalej wara im.
Dalej jest niedziela. Rwąc gałązki płowe
biegnie leśna dróżka po trawniku swym.

Leśna dróżka! Gdzie się podziały te nie tak znowu bardzo dawne czasy? Teraz wtargnęło tu miasto i to w postaci wieżowców.

Wysiadamy przed Uniwersytetem. Wchodzimy do hallu. Mnóstwo cudzoziemców, przeważnie Azjatów, ale oto widzę i Murzyna. W tym olbrzymim kompleksie gmachów mieszczą się nie tylko pracownie i aule: mieszkają tu studenci (od niedawna niektórzy szczęśliwcy w malutkich jednoosobowych pokoikach) i profesorowie. Powietrze tu zdrowe, nie zatrute dymami fabryk. Na miejscu — wszystko. Można by nawet nie zaglądać do centrum stolicy.

A z Gór Leninowskich — piękny widok na Moskwę, w tej chwili impresjonistycznie przymglony, bo słońce od naszego przyjazdu nie obdarzyło nas nawet promykiem. U stóp naszych „colosseum" stadionu Łużniki. Fotografuję go, a potem Uniwersytet, którego najwyższa wieża tonie we mgle, wreszcie jakąś malowniczą cerkiewkę. Na pewno nic z tych zdjęć nie będzie.

Jedziemy dalej. Klasztor Nowodziewiczy, na którego cmentarzu spoczywa tyle znakomitości. Budynki mieszkalne kierowników Partii. W jednym z nich mieszka Chruszczow. Mosfilm. I wkrótce już centrum stolicy.

Ogólne wrażenie: miasto-olbrzym, pełne architektonicznych kontrastów.

A wieczorem pieszy wypad na Plac Czerwony. I znowu nierealna zjawa Wasyla Błogosławionego. O 10-ej jedziemy na Sylwestra do Klubu Pisarzy.

•

Muzeum obrazów im. Puszkina. Bogate zbiory impresjonizmu francuskiego. A i Polską powiało: rzeźba Dunikowskiego, a na piętrze w jednej sali — wystawa Matejki: portrety, rysunki, szkice.

Wieczorem w Teatrze Satyry — adaptacja „Złotego cielęcia" Ilfa i Pietrowa.

A nazajutrz rano znów Polska. Przy ul. Czechowa tablica wmurowana w ścianę kamienicy, w której w r. 1826 mieszkał Mickiewicz. Przy ulicy Niemirowicza Danczenki — dom, w którym był „salon", gdzie się poznali i spotykali Puszkin i nasz wygnaniec. Też tablica: profile dwóch poetów i w języku polskim znany werset: „Znali się z sobą niedługo, lecz wiele i od dni kilku są już przyjaciele".

Wieczorem cyrk ze wspaniałym klownem — Popowem. O północy wyjazd „Czerwoną strzałą" do Leningradu. Ekspres ten, zatrzymując się tylko na stacji Bołogoje, przebywa 650 kilometrów, dzielących dzisiejszą stolicę od dawnej, w ciągu ośmiu godzin. Sen skrócił tę odległość dziesięciokrotnie.

Kazimierz Andrzej Jaworski

Z Kubą na widowni

TEATR DLA DZIECI

Ostatnio mieliśmy z Kubą pracowity tydzień teatralny: aż dwie premiery — „Śpiąca Królewna" w Teatrze im. Osterwy i „Królewna Śnieżka", przygotowana przez dziecięcy zespół dramatyczny Międzyszkolnego Ośrodka Kultury na Zamku.

— A jednak wolę teatr od kina — oświadczył Kuba po wyjściu ze „Śpiącej Królewny". — No bo wiesz: tam ściana i megafon, a tu żywi ludzie ruszają się, mówią...

Jednym słowem Kuba ceni sobie bezpośredni kontakt z aktorem, co jest chyba w istocie najważniejszym elementem przewagi teatru nad kinem. Dzieci, zwłaszcza młodsze, poddają się bez reszty magii sceny; przejmują się najdosłowniej losem bohaterów, ostrzegają ich, informują, udzielają im rad. Są najwdzięczniejszymi widzami i dobrze, jeśli teatr o nich się troszczy. Czym skorupka za młodu nasiąknie... Ale bezkrytyczność dzieci ułatwiająca teatrowi zadanie, przy rzetelnym podejściu może stać się źródłem dodatkowych skrupułów. Dziecko nie zna się na estetyce i tym ważniejszą jest rzeczą, by to, co mu się podaje jako piękne, mądre i dowcipne, było naprawdę z sensem i ze smakiem. I dlatego na wstępie — nim powiem o zaletach obu obejrzanych przedstawień — muszę zgłosić jedną wielką pretensję: dramaturgia! Nic nie wiem o panu Płonka-Fiszerze, ale niestety trzeba powiedzieć, że dane przez niego opracowanie „Śpiącej królewny" wyprane jest doszczętnie z wszelkiej poezji, inwencji, humoru czy bodaj nienajważniejszych zresztą w tym wypadku walorów dydaktycznych. Dowcip zaczyna się tu i kończy na ziewaniu i okładaniu kijami. I to wobec widowni składającej się z „Dżambli, co zielone głowy mają, niebieskie ręce mają i po morzu pływają w sicie" (patrz „Księga nonsensu").

A przecież literatura dziecięca, rodzima i tłumaczona, zawiera tyle uroczych dziełek, nadających się znakomicie do adaptacji: od „Sierotki Marysi" do „Kubusia Puchatka" — jest w czym wybierać.

Niezależnie od niefortunnego tekstu, Teatr potraktował małych widzów bardzo uczciwie, przygotowując spektakl z całą starannością. Reżyseria Danieli Kolaszyńskiej wydobyła maksimum możliwości z wątłutkiej sztuczki, aktorzy włożyli dużo zapału i dobrej woli w odtworzenie bajkowych postaci — zwłaszcza Kazimierz Iwor ziewał z prawdziwym poświęceniem! — Janusz Warpechowski dał dekoracje i kostiumy estetyczne, oszczędne, a zarazem przemawiające do dziecięcej fantazji. Kubie szczególnie przypadła do serca Królewna „w tej sukni rozsadzanej(?) jak baletnica".

* * *

Z mniejszymi możliwościami technicznymi, ale z nie mniejszą pieczołowitością przygotował swą „Królewnę" zespół dziecięcy pod kierunkiem młodej adeptki sztuki reżyserskiej p. Urszuli Mordzewskiej. Dzieci swobodnie poruszały się na małej scence, miały dobrze opanowany tekst, dekoracje Ryszarda Tkaczyka były nieskomplikowane a funkcjonalne, kostiumy projektu p. Tramecourt łączyły prostotę z pomysłowością. Piętą achillesową widowiska okazał się znów tekst, aczkolwiek w stosunku do dzieła p. Płonki-Fiszera — nieco mniej jałowy (głównie dzięki Disneyowi). Zresztą mam wrażenie, że w widowisku przeznaczonym nie tylko dla widzów, ale i dla aktorów d z i e c i ę c y c h, punkt ciężkości powinien spoczywać raczej na elementach tanecznych i pantomimicznych; im mniej tekstu, tym lepiej, bo dzieci, jeśli nie improwizują, jak w czasie spontanicznej zabawy w teatr, to najlepiej nawet przyswojony tekst mówią dosyć „drewniano".

Kuba zresztą przyznał palmę pierwszeństwa zawodowcom — „wzięła" go wspaniałość wystawy i dorosłość przedstawienia. Obojgu nam bardzo podobała się apostrofa wstępna na temat zachowania się w teatrze, adresowana chyba nie tylko do dzieci...

A. T.

„Śpiąca królewna": Tadeusz Bąk (Jacek)

Sprawa Tarwida

(Dokończenie ze str. 7)

podziać. Zgodziła się więc na wspaniałomyślną propozycję Imstowej i pracowała nadal w aptece pozostając pod wspólnym dachem z rywalką.

Wkrótce znowu zaczęły się między Imstami niesnaski. Razu pewnego, nazajutrz po ostrej sprzeczce małżeńskiej, Imstowa ciężko zaniemogła. Mimo nalegań męża nie pozwoliła wezwać lekarza. Przez dwa dni stan jej raz poprawiał się, to znowu pogarszał. Kiedy na trzeci dzień wystąpiły u niej poważne niedyspozycje żołądkowe, zaniepokojony Imst wezwał lekarza. Ten nie potrafił postawić żadnej diagnozy. W nocy Imstowa zmarła. Z inicjatywy lekarza, działającego zresztą w porozumieniu z Imstem, dokonano sekcji. W żołądku Imstowej znaleziono duże ilości arszeniku. Po dwóch dniach Imst i Mallery zostali aresztowani.

Fakty przemawiały raczej za samobójstwem. Taka była zresztą opinia publiczna. Sędzia śledczy jednak przyjął a priori jako pewnik, że popełniona została zbrodnia i że wina obojga aresztowanych nie ulega żadnej wątpliwości. Całe śledztwo, a następnie także przewód sądowy, przeprowadzono pod tym kątem. Imst i Mallery skazani zostali na dożywotnie więzienie. Nie pomogły protesty i petycje, wyrok zatwierdzono.

Po kilku dopiero latach udało się krewnym Imsta wyjednać zgodę na rewizję procesu. Wtedy okazało się, że wskutek braku obiektywizmu sąd popełnił kardynalne błędy Przede wszystkim nie przeprowadzono rewizji w mieszkaniu Imstów. W zamkniętym, niezamieszkałym od tragicznych zdarzeń domu, jeszcze po tak długim czasie znaleziono niezbite dowody, świadczące o tym, że Imstowa, nienawidząca z całego serca swojego męża, przygotowywała skrupulatnie zemstę, która miała go dosięgnąć już po jej śmierci. W odpowiednim momencie popełniła samobójstwo, stwarzając pozory, że została otruta.

Imst i Mallery zostali uniewinnieni. Po latach opuścili więzienie jedynie po to, by zamienić je na zakład dla psychicznie chorych.

W procedurze karnej naszego sądownictwa obowiązuje piękna zasada — zasada domniemania niewinności — będąca wyrazem ogromnego humanizmu, poszanowania praw i godności człowieka, nakazująca wszelkie nasuwające się wątpliwości przypisać na korzyść oskarżonego.

Sąd Najwyższy uzasadniając wyrok uniewinniający Tarwida podaje, że: „dla uznania winy na podstawie dowodów pośrednich — poszlak — jest konieczne, aby materiał dowodowy tworzył tak powiązany i nieprzerwany łańcuch poszlak, przy którym wszystkie inne rozsądne hipotezy, z wyjątkiem hipotezy winy oskarżonego, byłyby wykluczone".

W sprawie Tarwida tak jednak nie było. Zebrany w procesie materiał dowodowy nasuwał ogromne wątpliwości. W konfrontacji z faktami i życiem poszlaki kurczyły się i rozpadały. Było — zdaniem Sądu Najwyższego — wiele uchybień w działaniu sądu pierwszej instancji.

Akt oskarżenia przeciwko Tarwidowi został zbudowany na hipotezie, że żona jego nie mogła otruć się cyjankiem przyniesionym przez nią z SGGW, gdyż był on zbyt słaby. Dopiero w 20 miesięcy po śmierci Teresy Tarwidowej przeprowadzono w SGGW analizę cyjanku znajdującego się w słoiku, z którego odsypano dla niej 5 g. Wtedy okazało się, że nie jest on wcale słabszy od tego, którym dysponował Tarwid w swoim zakładzie. To stwierdzenie całkowicie podważyło hipotezę o niemożliwości popełnienia przez Teresę Tarwid samobójstwa.

Podobnie przedstawiała się sprawa i z innymi poszlakami. Ciągle nasuwały się nowe wątpliwości, wciąż inne ogniwo wypadało z długiego łańcucha dowodów.

Czyż można w tej sytuacji mówić o winie? Czy można na podstawie tak zawodnych i kruchych przesłanek, w świetle kardynalnych błędów i nieścisłości, skazać, przekreślić człowieka?

Dobrze się stało, że Sąd Najwyższy uniewinnił Kazimierza Tarwida.

Stanisława Gogołowska

NASZ EKRAN

„Kryminał" prawie doskonały

„Okno na podwórze" to film z kategorii sensacyjno-kryminalnych prawie doskonały; „prawie" odnosi się przede wszystkim do rozwleczonego wątku romansowego, który daje okazję prezentowania Grace Kelly coraz to piękniej odzianej lub rozdzianej zewnątrz, ale zawsze równie pustej wewnątrz: po obejrzeniu tej „kreacji" nie dziwimy się, że z dwojga złego Grace wolała wybrać czystą operetkę, to znaczy tron w Monaco...

A teraz jeśli idzie o doskonałość „Okna". Film ten jest popisem prawdziwej wirtuozerii: z bardzo nieefektownego tworzywa Hitchcock potrafił stworzyć całość pasjonującą nie tylko w sensie „kryminału"; wystarczyłyby pewne przesunięcia, by z „Okna" stworzyć dużej wartości film obyczajowo-psychologiczny z głębszą perspektywą intelektualną. Hitchcock napomyka o tym, daje do zrozumienia, że wie, czego się wyrzeka, i że wyrzeczenia tego dokonuje z całą świadomością. Zwłaszcza jedna scena wyrasta uderzająco ponad kategorię reprezentowaną przez całokształt filmu: tragiczny krzyk histeryczki po zabiciu jej małego pieska: „Jedyne stworzenie, które was wszystkich lubiło"...

Rezygnując z wyższych ambicji, Hitchcock koncentruje uwagę na bezbłędnym rozwiązaniu postawionej sobie łamigłówki: jak zrobić film sensacyjny z przeżyć bohatera, który leży unieruchomiony w łóżku, a za całe pole obserwacji ma widok ze swego okna na podwórze kamienicy. Mistrzostwo Hitchcocka polega nie tyle nawet na odpowiednim skonstruowaniu strony fabularnej (tu można by się do tego i owego „przyczepić) co przede wszystkim na znakomitym wyzyskaniu możliwości zwielokrotnionego o k a, jakim jest kamera. Dialogi odgrywają w filmie niewielką rolę i to w słabszych jego partiach, wszystko, co istotne, podane jest przy pomocy elementów wizualnych i to niezastąpienie wizualnych. Jak uzyskać słowami efekt, jaki wywiera jarzący się w ciemności papieros żonobójcy, czy też scena starcia się śledzonego z fotoreporterem, który „walczy" oślepiającym blaskiem „fleszu"? Patrząc na tę wirtuozerię i wynalazczość formalną trudno oprzeć się westchnieniu: cóż za dobra robota w służbie nienajlepszej sprawy! Bo skądinąd film Hitchcocka obliczony jest wyraźnie na aprobatę niezbyt wybrednego odbiorcy: stąd cały ów wątek plotkarsko-romansowy, stroje i dezabile pani, akcenty melodramatyczne, pospolity dowcip (np. cała sprawa rzeźbiarki-„abstrakcjonistki"). Ciekawe, co potrafiłby dać Hitchcock nie skrępowany komercjonalizmem? ekranizujący na przykład Dostojewskiego czy Faulknera, to znaczy autorów, którzy na fabule kryminalnej tworzą arcydzieła...

Tajoj

NOTY

CZECHOW. „Nowa Kultura" przynosi w nrze 5 dwa zamieszczone obok siebie interesujące artykuły o Czechowie: J. Iwaszkiewicza i I. Erenburga. Ciekawa rzecz: oba artykuły słuszne, poruszają istotne sprawy związane z twórczością wielkiego pisarza, ale autor polski pisze o nim cieplej i serdeczniej i bardziej może zachęcić czytelnika znającego Czechowa tylko z nazwiska — do zapoznania się z jego twórczością. P. S.: Iwaszkiewicz wspominając o „babuszce Rosj." przypisuje Gonczarowowi napisanie powieści „Wąwóz". „Uszczelje"? Chyba „Obryw".

„CZAS NIEPOKOJU" — antologia współczesnej poezji brytyjskiej i amerykańskiej, opracowana przez Pawła Mayewskiego i wydana w Nowym Jorku (1958) przez Criterion Books, wymaga dłuższej recenzji. Tutaj zasygnalizuję tylko, że zawiera ona wybór utworów 41 poetów (wśród nich takie głośne nazwiska, jak Yeats, Joyce, Lawrence, Sandburg, Pound, Eliot, Sacheverell Sitwell); najmłodszy z nich Robert Lovell — urodzony w r. 1917, a więc po czterdziestce. Jak widać z tego, zbiór ten nie obejmuje poetów młodszej generacji, ale i ze starszych dziwi nieobecność Lindsay'a, murzyńskiego pisarza Hughesa, czy E. Lee Mastersa (o którym Harriet Monroe, krytyk i redaktor antologii współczesnej poezji amerykańskiej, wspomina jako o jednym z największych i najśmielszych poetów zachodniego kontynentu). Wydaje się też, że wiecznie młody klasyk Walt Whitman (któremu piękny wiersz w tym zbiorze poświęcił Robinson), choć o 25 lat starszy od rozpoczynającego antologię (układ chronologiczny) Hopkinsa, mógłby się w tej książce znaleźć. Przekładów dokonało 21 autorów, nie tylko poeci, a szkoda. Ponieważ po lewej stronie książki podany jest tekst oryginału, można zorientować się w wierności tłumaczeń. Niektóre są bardzo wolne, wypełnione tzw. „otsiebiatiną", że użyję tu wyrażenia używanego w stosunku do przekładowców poezji rosyjskiej. Np. zwięzły wiersz Crane'a „Patrząc w dół", zawierający w oryginale sześć linijek, w tłumaczeniu J. Leszczy został rozciągnięty do dziewięciu; oczywiście u Crane'a nie ma żadnego Maćka(!), który potrzebny był do rymu... Mimo tych zastrzeżeń uważam, że „Czas niepokoju" jest pozycją bardzo pożyteczną i daje pojęcie o współczesnej poezji brytyjskiej i amerykańskiej (wiersze w olbrzymiej większości najzupełniej komunikatywne i bardzo humanistyczne). Niektóre przekłady naprawdę piękne.

PRAKTYCZNA PROPOZYCJA. W kąciku językowym „Życia Warszawy" „Byki i byczki" (nr z dnia 31.I.) podpisujący tę rubrykę ibis występuje z praktyczną propozycją, nad którą warto by się zastanowić: ponieważ przyjęto u nas podawać nazwiska cudzoziemskie tak, jak się je pisze w odpowiednim języku obcym, co nieraz utrudnia właściwą ich wymowę, czy nie należałoby obok takich nazwisk umieszczać w nawiasie ich brzmienie w transkrypcji fonetycznej, np. przy nazwisku popularnego uczestnika ostatniego konkursu chopinowskiego — Ringeissen napisać w nawiasie: Rężesen.

-kaj-

Dwutygodnik literacki „Kamena" • Redaguje Kolegium • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1-c • Telefon: 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu" zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu". Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje P. K. W. Z. „Ruch", Warszawa, ul. Wilcza 46. Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch" Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa — Unicka 4.
Zam. 462. 1.II.1960. S-3.